RODZINA I DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 2

ROK III LUTY 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 2 ŁUTY 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Zofia Iwaszkiewiczowa.

IDEAŁ W WYCHOWANIU.

Charakter, o którego kształcenie chodzi nam w wychowaniu przede wszystkim, jest bardzo złożonym zespołem idei, dążeń, uczuć, przyzwyczajeń, które trzeba ująć w pewną całość, uporządkować i zjednoczyć z myślą o celu, który pragniemy osiągnąć, uzależnić od ideału, który sobie postawimy.

Nikt nie może zaprzeczyć wpływu ideału na kształcenie charakteru, ale trudno zgodzić się z tymi, którzy posuwają się tak daleko, że odmawiają znaczenia jakości ideału twierdząc, że dusza człowieka przetwarza się i doskonali zarówno w prawdziwym jak w fałszywym świetle ideału. Nie ulega kwestii, że idea czegoś wyższego, lepszego od rzeczywistości jest dla nas środkiem, by to wyższe, lepsze urzeczywistnić. Chcąc dążyć do doskonalenia się, trzeba w sobie pewną ideę wytworzyć, ale to nie dosyć, trzeba także mieć wolę wcielenia jej w życie, rozpalenia jej żarem wszystkich naszych czynów.

Nie należy się łudzić, że już samo poznanie przez młodzież ideału może wpłynąć na doskonalenie jej charakteru, na zmianę postępowania. Dalecy jesteśmy od wiary Sokratesa, że praktykowanie moralności i wiedza moralna to jedno, jak również od nauki encyklopedystów 18 wieku, że moralne oblicze narodu zależy od rządzących nim praw. Wiemy, że cnoty nie można się nauczyć, że nie wystarcza mieć przed oczami najwznioślejszy ideał, aby go stosować w życiu. Nie znaczy to jednak, aby można wychowywać młodzież bez ideału, który traktować należy jako silny reflektor wskazujący jej drogę, po której iść należy, zdobywając się na wysiłki woli, na świadome chcenie.

Chociaż, jak to widzimy w życiu, sama znajomość prawa Boskiego przez chrześcijan nie wystarcza, abyśmy w życiu byli naśladowcami Wielkiego Nauczyciela — Chrystusa, to jednak nie znajdziemy wyższego ideału, którybyśmy mogli postawić w wychowaniu, jak ideał chrześcijański, choćby dlatego tylko, że wcielony w Chrystusie ideał ludzki jest najbardziej zbliżony do natury człowieka, bo Jezus Chrystus był nie tylko Bogiem, ale i człowiekiem.

Jakimi metodami pedagogicznymi można zaszczepić w duszy dziecka

ten ideał, który uważamy za najwyższy ideał chrześcijański? Największym błędem pedagogicznym jest stawianie już przed małym dzieckiem wzniosłego, ale dla niego niezrozumiałego ideału, bo ono jeszcze do niego nie dorosło, bo jego świadomość nie jest jeszcze do jego przyjęcia przygotowana. Słusznym wydaje nam się stanowisko tych pedagogów, którzy uważają, że trzeba przystosować stawiany ideał do wieku dziecka. Już nawet najmniejsze dziecko ma przed sobą ideał — być takim, aby wywołać zadowolenie starszych ze swego postępowania, aby z ust mamusi czy niani usłyszeć: „dziecko caca, dziecko grzeczne", słowa, które napełniają je wielką radością, wywołując uśmiech zadowolenia na jego usteczkach, słowa, które dla niego stanowią sprawdzian zbliżenia się do ideału. Z a d o w o l e n i e r o d z i c ó w jest celem, do którego dąży małe dziecko. Gdy już wyrośnie z tego okresu, gdy się w nim obudzi własny sąd, dziecko musi zdobyć własne motywy działania, wynikające z postawionego przed sobą, podsuniętego przez wychowawców i d e a ł u g o d n o ś c i o s o b i s t e j. Ale to wymaga przede wszystkim, by starsi umieli uszanować w dziecku godność człowieka. Nie mówię już o wyrzeczeniu się stosowania kar cielesnych, bo szkodliwości ich chyba nie potrzeba tu udawadniać, ale jakże często rodzice i wychowawcy grzeszą brakiem panowania nad sobą, unosząc się gniewem nawet wobec drobnego przekroczenia dziecka, jakże często nie szanują zupełnie jego ambicji. Na nic się zdadzą wszelkie pouczenia o konieczności panowania nad sobą, jeśli przykład starszych będzie temu przeczył. Błędem wychowawczym będzie również podkreślanie tylko uchybień ze strony dziecka, a unikanie słów uznania. Dlaczego nie powiedzieć dziewczynce czy chłopcu, którzy czynią wysiłki w celu opanowania się w imię właśnie ideału godności człowieka: „postąpiłeś dzielnie", „dowiodłaś, że umiesz sobą rządzić"?

C h ę ć w ł a d a n i a s o b ą, jeśli potrafimy ją zaszczepić w dzieciństwie, może stać się poważną dźwignią w przyszłości, w niebezpiecznym wieku młodzieńczym. Wtedy, gdy w młodym chłopcu czy dziewczynie budzi się ciekawość dla własnej psychiki, wzrasta zdolność porównywania, wytwarza się autokrytycyzm, możemy im podsunąć obowiązek samowychowania, pracy nad sobą, nad realizowaniem ideału, nad ziszczeniem ich snów o potędze przez własne doskonalenie się, przez mocne czyny, dyktowane wolą. Niesłychanie ważne są dowodzenia Sprangera (Psychologie des Jugendalters), że sam ideał nie może bezpośrednio oddziaływać na młodzież, że nie jest ona na tyle psychicznie samodzielna, aby się mogła obejść bez doradcy, którym musi być żywy człowiek. Jest to ciężki błąd rodziców, którym się zdaje, że rola ich skończona, bo wszczepili zasady, bo ukazali dziecku ideał Charakterystycznym dla wieku młodzieńczego jest brak równowagi, spowodowany wzmożoną uczuciowością, krytycyzm, chęć wypróbowania swych sił. Rozumny wychowawca musi to wszystko wykorzystać dla ideału. Słusznie mówi w swej pięknej książce „Kształtowanie charakteru" M. Z. Gillet, że wychowawca tylko wtedy potrafi na

tchnąć młodzież ideałem, gdy sam wysoko nosi ideał godności człowieka, gdy sam go silnie umiłował. żeby młodzież rozumieć, trzeba mieć doświadczenie życiowe, trzeba mieć zaufanie młodzieży, trzeba samemu być młodym, nie w znaczeniu przeżytych lat, lecz tą młodością, którą cechuje dążenie do ideału, wiara w niego, brak sceptycyzmu. W okresie, gdy młodzież sama siebie nie rozumie i szuka kogoś, ktoby ją rozumiał, taki wychowawca, ojciec, czy nauczyciel górujący nad wychowankiem swą wiedzą życia, mogą odegrać w kształtowaniu się jego charakteru ogromną rolę. Mogą mu pomóc w dążeniu do realizowania w sobie ideału, do samowychowywania.

Jeśli młodzież wzrasta bez świadomego realizowania w sobie ideału, to wzrasta właściwie bez istotnego wychowania, narażona na wiele niebezpieczeństw, szczególnie w wieku przełomowym, gdy zaczynają na nią oddziaływać różne silne czynniki natury fizjologicznej i psychicznej. Spranger wyraża przekonanie, że życiem płciowym nie można rządzić, mając na uwadze ciało, lecz jedynie porządek całej duszy. Psychologia wszystkich młodych wykolejeńców wykazuje zawsze wewnętrzną pustkę, beztreściwość życia, pogardę dla samego siebie, wewnętrzny ciężar i chęć pozbycia się go przez silne wrażenia, które są ucieczką od siebie. Potrzebna tu byłaby silna przeciwwaga ideału, a tego im nie zaszczepiono.

Jak wielką jest również społeczna strona samowychowania, nie potrzeba chyba dowodzić. Tylko przez zrozumienie ludzkiej godności osobistej potrafimy uszanować ją w innych; walcząc ze złem w sobie potrafimy je zwalczyć w otoczeniu; rozumiejąc, jak trudno jest zdyscyplinować siebie samego, łatwiej zrozumiemy ułomności ludzkie.

Stawiając przed wychowankiem ideał człowieka, możemy go nauczyć podnosić ten ideał do miary coraz wyższej — najwyższy będzie ideał religijny, polegający na szukaniu Królestwa Bożego. Łączy on w sobie ideał społeczny, narodowy i państwowy. Kto umie podporządkować siebie ideałowi chrześcijańskiemu, ten zdolny jest pełnić służbę dla narodu, dla państwa, dla społeczeństwa. „Aby być chrześcijaninem, trzeba być najpierw człowiekiem uczciwym" mówi Z. M. Gillet.

Kto nie nauczył się opanowywać i podporządkowywać czemuś wyższemu w sobie, ten nie będzie umiał ponieść odpowiedzialności obywatelskiej wobec narodu i państwa, nie będzie uczciwym człowiekiem, nie będzie chrześcijaninem.

Nie należy jednak zapominać, że względy pedagogiczne nakazują, aby ten najwyższy ideał, który będzie jednocześnie ideałem pracy twórczej, ideałem indywidualnym i społecznym, był zaszczepiany stopniowo, by niejako z dzieckiem rósł, nabierając coraz pełniejszych cech.

PROSIMY SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW O WPŁACANIE REGULARNE PRENUMERATY, GDYŻ OD TEGO ZALEŻY REGULARNE UKAZYWANIE SIĘ CZASOPISMA.

Dr T. B.

KILKA UWAG W SPRAWIE PRZECIĄŻENIA MŁODZIEŻY LICEALNEJ.

Problem przeciążenia pracą szkolną młodzieży jest aktualny zawsze, w pewnych jednak okresach staje się on tematem specjalnie „modnym", o którym mówi się dużo i często, szczególnie wśród rodziców. Niewątpliwie istnieją pewne przyczyny obiektywne, które wzmagają aktualność tego zagadnienia w pewnych okresach czasu. W chwili obecnej taką przyczyną jest realizacja nowych programów liceów w bieżącym roku szkolnym. Dość często stawia się tezę, że przyczyny przeciążenia tkwią właśnie w liceum, w jego programach i w związku z tym w wysokich wymaganiach nauczycieli. Celem niniejszego artykułu jest rozważenie kilku kwestyj, nasuwających się w związku ze stawianymi tego typu zarzutami.

Przede wszystkim należy wyraźnie oddzielić kwestię przeciążenia spowodowaną ewentualnie samym programem, od trudności związanych z realizacją rzeczy nowej, a więc noszących charakter przejściowy (brak odpowiednio przystosowanych do programu licealnego podręczników, brak doświadczenia ze strony nauczycieli, niewdrożenie się uczniów do nowego typu pracy i tp.). Wywołują one niewątpliwie konieczność zwiększenia pracy ze strony młodzieży, choć, z góry to trzeba zaznaczyć, nie w takim stopniu jakby się to wydawało na pierwszy rzut oka. Zajmować się nimi nie będę, mając głębokie przekonanie, że rok przyszły przedstawiać się będzie pod tym względem zupełnie inaczej. Postaram się natomiast poruszyć kilka kwestyj bardziej zasadniczych, których rozważanie obecnie może się przydać również i w latach przyszłych.

Rozpocznę od rzeczy podstawowej. Nie wszyscy rodzice zdają sobie sprawę, że podział liceum na wydziały oparty jest na następującej zasadzie: młodzież winna mieć możność uczenia się, rozwijania swych zdolności, intelektu oraz zamiłowań na takim materiale, który jej najbardziej odpowiada. W konsekwencji więc zapisanie ucznia do takiego czy innego wydziału liceum winno być poprzedzone głębokim namysłem nad kwestią jakimi zdolnościami obdarzone jest dziecko. Jeśli posiada ono zainteresowania i zdolności humanistyczne, to winno iść do liceum humanistycznego, gdy zaś zdolności matematyczne i zamiłowania w tym kierunku — do liceum matematyczno - fizycznego. Do tego oczywiście przystosowane są odpowiednio programy poszczególnych wydziałów, kładące główny nacisk na różne grupy przedmiotów, zależnie od wydziału. Jeśli ta słuszna zasadniczo tendencja zostanie przez rodziców zlekceważona, wówczas powstaje oczywiście dysproporcja między możliwościami ucznia a wymaganiami programu. Doświadczenie wykazuje, że rodzice nie zawsze, oddając syna czy córkę do liceum, kierowali się tymi względami. Często się zdarzało, że na taki lub inny wydział dziecko zostaje skierowane przez ro-

dziców pod wpływem myśli o dalekiej przyszłości, niezależnie zaś od jego zamiłowań i zdolności. Takie postępowanie się mści. Młodzież nie może sobie dać rady, a starając się ze swych obowiązków wywiązać jaknajlepiej pracuje dużo i długo.

Zdarza się jednak, że zjawisko przeciążenia występuje również i w tych przypadkach, kiedy selekcja została przeprowadzona względnie uczciwie i uczeń znalazł się w odpowiednim dla siebie wydziale. Rodzice skarżą się, że syn czy córka przesiadują do późnej nocy opracowując zadane lekcje. Faktu tego nikt nie ma oczywiście prawa kwestionować, należy jednak zajrzeć czasami za kulisy sprawy, a wówczas będzie można zapewne znaleźć pewne środki zaradcze. Praca licealna oparta jest w dużej mierze na samodzielnym wysiłku młodzieży, która nie może się ograniczyć do biernego wchłaniania w siebie tego, co mówi nauczyciel lub podaje książka, ale musi również sama wykazać się samodzielnymi, oczywiście w niewielkim zakresie, poczynaniami. Zakres tej samodzielności, trzeba to podkreślić jeszcze raz, jest skromny i nie rości sobie najmniejszej pretensji do jakichkolwiek „samodzielnych badań naukowych". W związku z tym w pracy licealnej operuje się większymi całościami kursu, pewnymi tematami, zagadnieniami, których nie można opracować z lekcji na lekcję. Temat wyznaczony jest zazwyczaj na dłuższy przeciąg czasu i obowiązkiem ucznia jest tak rozłożyć sobie pracę wykonawczą, aby codziennie odrobić jej część. W praktyce jednak, mimo zaleceń nauczycielskich, ciągłego zwracania uwagi i tp. uczeń lekceważy pracę systematyczną i, gdy nadchodzi termin oddania pracy lub zdania sprawy z lektury, zaczyna się na gwałt przygotowywać. Rozpoczyna się praca nocna, no i oczywiście skargi rodziców na przeciążenie. Praca licealna wymaga racjonalnego rozłożenia jej w czasie, wymaga nie jednorazowego wysiłku, lecz stałej i systematycznej pracy codziennej. Odnosi się to w ogóle do wszelkiej pracy szkolnej, jeśli jednak chodzi o liceum to konieczność ta występuje szczególnie silnie. Kto tego nie przestrzega, ten przy całym (okresowym co prawda) „przepracowaniu" do rezultatów pozytywnych nie dojdzie.

W związku z tą kwestią wysuwa się również problem samej techniki uczenia się. Powiedzmy szczerze: podczas gdy na całym świecie i we wszystkich dziedzinach życia praca ludzka ulega coraz dalej posuniętej racjonalizacji, zmierzającej do tego aby przy minimum wysiłku otrzymać jaknajwiększe rezultaty, aby nie marnować bezprodukcyjnie energii ludzkiej, w dziedzinie uczenia się stosowane są metody „przedpotopowe". Wszelkie wskazania ze strony nauczycieli pozostaną bez rezultatu, jeśli w tej kwestii nie zabierze głosu opieka domowa. Nauczyciel nie może sprawdzić czy uczeń uczy się według jego wskazówek, może to natomiast uczynić dom. Tymczasem rodzice i opieka domowa pod tym względem są bardzo konserwatywni. Ojciec czy matka pamiętają jak sami się uczyli, uważają, że tak było dobrze i w ogóle najlepiej, i nie zdają sobie sprawy,

że nowe przedmioty, nowa wiedza, nowe podręczniki, nowy sposób pracy w klasie, wymaga odmiennych sposobów opracowywania lekcyj w domu. Przyglądają się biernie wysiłkom swych dzieci, ograniczając się najczęściej do pomocy w sensie „przepytania" i narzekania na przeładowanie młodzieży wiedzą. Nie zdają zaś sobie sprawy, że przy zastosowaniu racjonalnej techniki pracy domowej można dużo więcej zrobić niż „staroświeckimi" metodami. Niejednokrotnie zdarza się, że lekcje w ten sposób przygotowane w domu nie odpowiadają wymaganiom stawianym przez nauczyciela. Dla ilustracji podam przykład niesłychanie prosty, ale powszechnie spotykany. Od ucznia w liceum wymaga się, aby umiał skonstruować odpowiedź w formie dłuższej całości, odpowiednio zbudowanej pod względem myślowym i porządnie wypowiedzianej. Jest rzeczą ogólnie znaną, że młodzież, szczególnie w wieku licealnym, nie lubi uczyć się głośno, uważając to za dziecinne formy pracy. Młodzieniec w pewnym wieku uczy się „w myśli". Rezultat? Najczęściej bardzo smutny. Gdy przyjdzie do głośnej wypowiedzi uczeń się męczy, stęka, szuka słów, jąka, morduje z samą wymową, przy tym wysiłku czysto fizycznym myśl ucieka, całość się nie klei, odpowiedź wypada fatalnie, mimo wielogodzinnej pracy. Nauczyć się pisać może ten, kto dużo pisze. Ręka wówczas automatyzuje się, przy pisaniu nie zwraca się uwagi na kształt liter, nie przypomina sobie człowiek ich wyglądu. Dzięki temu można pisać szybko pod dyktando własnych myśli, które nie są przerywane ciągłą troską o to jak napisać daną literę. Podobnie z mową, nie tylko obcą ale i własną. Trzeba tu przezwyciężyć pewne opory, czysto mechaniczne, stawiane przez niewprawny język, z trudem wymawiający poznany poraz pierwszy wyraz. Można się uczyć „w myśli" wiele godzin i w rezultacie nie umieć wypowiedzieć ani jednego zdania głośno, i można, przy tych samych zdolnościach zrobić to dużo szybciej z dodatnim rezultatem ucząc się głośno.

Bardzo ważnym zagadnieniem, ściśle związanym z kwestią przeciążenia, jest organizacja całego trybu życia młodzieży. Szczególnie ostro występuje ona w stosunku do młodzieży licealnej, która zaczyna się w tym wieku interesować wieloma rzeczami niezwiązanymi z nauką szkolną. Konieczną jest rzeczą zachowanie w tym zakresie pewnej harmonii i umiaru, których brak dotkliwie odbija się na całości pracy. Nie każdy z rodziców zdaje sobie np. sprawę z tego, że właściwie fałszywy jest pogląd jakoby wysiłek fizyczny był pewnego rodzaju odpoczynkiem po pracy umysłowej. Młodzieniec siadający do pracy umysłowej po kilkogodzinnym treningu fizycznym nie ma bynajmniej „odpoczętej głowy", w rezultacie czego praca idzie mu powoli i bez rezultatu. Sport i wysiłek fizyczny jest potrzebny, ale dla dobra nauki szkolnej, musi on być podporządkowany pewnym zadaniom ogólniejszym, musi być czasami nawet hamowany.

Oto kilka nasuwających się spraw w związku z wysuwanym motywem

„przeciążenia" młodzieży. Nie wyczerpują one oczywiście całej listy tych, które z zagadnieniem przeciążenia są dość ściśle związane. Nie to zresztą było zadaniem tych uwag, lecz chęć wskazania, że zagadnienie przeciążenia łączy się nie tylko z programami szkolnymi, ale z bardzo wieloma innymi sprawami, które decydują o jego istnieniu i rozmiarach.

Dr Jadwiga Pągowska.

DZIECKO NERWOWE.

Coraz częściej spotykamy się obecnie ze skargami rodziców na nerwowość dzieci, skargami — na szczęście — nie zawsze słusznymi, a których się często nadużywa w celu wytłumaczenia dziecka przed obcymi. Czasem pod płaszczykiem użalenia się widzi się nawet pewną jak gdyby dumę z tego, że dziecko jest „nerwowe", to znaczy delikatniejsze, bardziej wrażliwe od innych dzieci, wymagające odrębnego traktowania, dziecko, które należy mierzyć inną miarą. A i dziecko często chętnie korzysta z tego przywileju „nerwowości" zwykle w postaci już określonej jednostki chorobowej np. nerwicy serca, nerwicy żołądka. „Czy ja się mogę gimnastykować, bo mam nerwicę serca?" — inne dzieci spoglądają wtedy z szacunkiem i zazdrością na kolegę, który w ich wieku ma taką poważną chorobę!

Te przywileje na rzecz nerwowości sprawiają, że i rodzice i same dzieci chętnie przyznają, że są nerwowe i często — zwłaszcza w szkołach, gdzie jest dużo jedynaków — nie ma dzieci normalnych, są tylko „nerwowe".

Wydaje mi się, że czas zrewidować pojęcie „nerwowego" dziecka i nie wmawiać nerwowości w te dzieci, które są jeszcze zdrowe, zająć się zaś tymi, które rzeczywiście wykazują jakieś odchylenia od prawidłowego stanu zdrowia.

Niestety — często nawet lekarzowi trudno zdecydować, jakie dziecko wymaga odrębnego traktowania, czy też leczenia; tym trudniejsze jest to dla rodziców, którzy widując dziecko stale spostrzegają w nim takie cechy, jakichby lekarz nie dostrzegł, i naodwrót, nie widzą pewnych odchyleń od „normalności", bo są już do nich przyzwyczajeni: takie czy inne cechy dziecka wydają im się tylko jedną z cech indywidualnych, a nie objawem chorobowym.

Pewne cechy nerwowości objawiają dzieci już w niemowlęctwie; w miarę dorastania objawów tych zwykle przybywa — i w wieku szkolnym spotykamy się z takimi neuropatycznymi dziećmi bardzo często. Zdarza się, że matka oddając dziecko do szkoły mówi o jego nerwowości, w szkole zaś uważa się dziecko za zupełnie normalne, innym zaś razem w szkole właśnie spostrzega się pewne cechy, które zwracają uwagę nauczyciela lub lekarza; te przypadki bywają zwykle cięższe.

Jednym ze szczególnie częstych objawów nerwowości dziecięcej są wymioty, u dzieci szkolnych wymioty ranne, odrazu po śniadaniu, występujące zwykle bez powodu. Trwają one niekiedy dość długo, jeszcze w czasie pierwszej i drugiej lekcji, zwłaszcza, jeżeli dziecko tej właśnie lekcji nie lubi. Jeżeli dziecko jest zmęczone, wymioty występują częściej, w okresach powakacyjnych obserwuje się zwykle przerwę (z wyjątkiem tych dzieci, które wracają do szkoły niechętnie lub obawiają się jej — tym zdarza się to właśnie po wakacjach).

Wymioty takie zwykle nie odbijają się zupełnie na zdrowiu dziecka, przed nimi i po nich czuje się ono zupełnie dobrze, niekiedy jednak częste i długotrwałe wymioty doprowadzają do wyniszczenia dziecka i konieczności interwencji lekarskiej. W przypadkach, kiedy wymioty występują przy zmianie warunków np. przy wstąpieniu dziecka ze szkoły powszechnej do gimnazjum, po pewnym okresie przyzwyczajenia do nowych warunków ustępują one zupełnie.

Rzadszym objawem pobudliwości bywają biegunki niezależne od żadnych chorób jelit, mające związek jedynie ze stanem psychicznym dziecka. Pewna chwiejność układu trawiennego dzieci nerwowych powoduje, że są one zwykle niedożywione, szczupłe, a nawet chude, mimo że — jak twierdzą rodzice — mają często doskonały apetyt. Tym dzieciom potrzeba zwykle dużo większych ilości pokarmu niż innym, ażeby przybrały na wadze. Zresztą ich nadmierna niekiedy żywość i ruchliwość, a stąd większa praca mięśniowa, powoduje szybszą przemianę materii, szybsze spalanie dostarczonego im pokarmu.

Zdarza się również, że dziecko traci apetyt (często pod wpływem długotrwałego zmęczenia) i jego niechęć do jedzenia objawia się również nudnościami lub wymiotami. Nie mówię o tych przypadkach, kiedy dziecko nie jada, jeżeli nie jest o to specjalnie przez rodziców proszone, przekonywane, namawiane — i pozwala się przebłagać tylko wtedy, jeżeli dostanie to na co ma ochotę, — to są zwykle dziecinne grymasy, którym rodzice są winni i które z czasem mogą doprowadzić do pewnych objawów nerwicowych, jeżeli tych zwykłych ceremonii nagle zabraknie. Często się zdarza natomiast, że dzieci szczególnie wrażliwe nie chcą jadać śniadania, bo mogą się spóźnić do szkoły. Takie dzieci należy budzić troszkę wcześniej, żeby wiedziały o tym, że mają czas specjalnie na śniadanie przeznaczony i że nic im grozić nie będzie, jeżeli go troszkę przekroczą. Nie można jednak ustępować tak, jak to niektórzy rodzice rozumieją, by zwalniać dziecko na stałe z pierwszej lekcji. Jeżeli dziecku to dogadza, nie zrezygnuje wtedy szybko ze swojej „nerwowości", rannych wymiotów i zwyczaju niejadania śniadania.

Jednym z objawów u dzieci neuropatycznych jest upośledzenie snu. I tu się tworzy błędne koło: dziecko sypia źle i mało, bo jest nerwowe; dziecko jest nerwowe, bo sypia źle i mało. W drugim przypadku rodzice mogą zapobiec nerwowości dziecka strzegąc jego snu; pilnując,

żeby się kładło dostatecznie wcześnie; żeby zdążyło odrobić wszystkie lekcje, bo inaczej kładzie się spać z poczuciem niewypełnionego obowiązku, z obawą, czy zdąży to zrobić następnego dnia, — i w rezultacie nie śpi tak dobrze i spokojnie, jak powinno; żeby przed snem nie czytało podniecających książek; żeby wcześnie zjadło kolację itd. itd.

Dzieci nerwowe często miewają t. zw. strachy nocne; wieczorem nie mogą długo zasnąć albo zasypiają tylko w specjalnych warunkach.

Przykłady: czteroletnia dziewczynka przewraca się długo na łóżku; „Wandeczko, czemuż ty jeszcze nie śpisz?" „Bo ja tak myślę, mamusiu, czemu żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa?..."

Inny: matka opowiada, że synek jest tak do niej przywiązany, iż ona nigdy nie może wyjść z domu wieczorem; dziecko nie zaśnie, jeżeli jej nie trzyma za rękę, jeżeli zaś jest zajęta szyciem lub czytaniem, to trzyma ją przynajmniej za palec od nogi. Dziecko doprowadziło do tego, że jeżeli matka wychodzi wieczorem, zabiera je z sobą do teatru, kawiarni itp.

U wielu dzieci neurotycznych stwierdza się również mimowolne moczenie nocne, u niektórych zaś częste oddawanie moczu. Jeżeli po dokładnym zbadaniu sprawy przez lekarza okaże się, że niema żadnych zmian w nerkach czy pęcherzu, należy to traktować jako objaw nerwicowy. Znam przypadek, kiedy dziewczynka po śmierci brata bardzo przez rodziców kochanego początkowo była przez nich zaniedbywana. Po pewnym czasie zachorowała: co chwilę musiała oddawać mocz. Lekarz nie stwierdził żadnej przyczyny organicznej, ale częste oddawanie moczu minęło po kilku tygodniach, kiedy dziecko przekonało się, że rodzice zaczęli się nim zajmować równie żywo, jak dawniej zmarłym bratem.

Bywają dzieci, które starają się osiągać pewne korzyści napadami gniewu: krzycząc głośno lub płacząc. Niekiedy dochodzi nawet do drgawek rzekomych.

Jeżeli się ten sposób raz powiedzie, dzieci używają go coraz częściej, wpadają nawet czasem w omdlenie.

Przeciwdziałać takim atakom trzeba odrazu we wczesnym dzieciństwie, przy czym najskuteczniejsze jest niezwracanie uwagi na dziecko, nieroztkliwianie się nad nim. Starsze dzieci doskonale sobie zdają sprawę z tego, co mogą osiągnąć takimi atakami gniewu i potrafią ich umiejętnie używać, ale wyrzekają się tego po pewnym czasie, jeżeli zrozumieją, że się zna motywy ich postępowania i że się takie metody uważa za śmieszne.

Objawem neuropatii u dzieci starszych, zwłaszcza u dziewczynek, są skargi na bóle w różnych okolicach ciała. Często bóle takie pojawiają się co dzień gdzieindziej i łatwo się wtedy zorientować, że nie ma żadnej przyczyny organicznej. Niekiedy jednak dzieci wytrwale wskazują tę samą okolicę ciała i tylko po bardzo dokładnym badaniu lekarskim można stwierdzić, że dziecku nic właściwie nie dolega. Te przy-

padki są jednak rzadsze, bo dzieciom brak wytrwałości do symulowania przez dłuższy czas jakiegoś znanego im objawu chorobowego. Często zdarza się również, że rodzice mają urazę do lekarza, który twierdzi, że dziecko jest zupełnie zdrowe fizycznie, a bóle są pochodzenia nerwicowego i żadne leczenie — poza właściwym postępowaniem z dzieckiem — nie jest potrzebne. Fakt, że dziecko „nerwowe" źle wygląda, pogarsza sprawę: zaczyna się chodzenie od lekarza do lekarza; ten powiedział to, tamten powiedział tamto — któremu teraz wierzyć? Dziecko samo zaczyna się przejmować tym, że jest poważnie chore, traci apetyt zupełnie, staje się coraz słabsze; sprawa komplikuje się tym, że dziecko rozchorowuje się naprawdę. W dodatku sprawa jego zdrowia staje się czymś niesłychanie ważnym — i tak już przez całe życie musi być traktowane.

Do tego samego doprowadza zwyczaj codziennego mierzenia temperatury. Niektórzy rodzice i dzieci stwarzają sobie fikcyjną normalną temperaturę, której ani o kreskę przekroczyć nie wolno. Jeżeli uważają za taką 36,6° C, to przy ciepłocie 36,5° uważają, że dziecko jest osłabione, a przy 36,7° — 36,9°, że „ma stan podgorączkowy". Lekarzowi z trudem się wtedy udaje przekonać rodziców, że ciepłota ciała w ciągu dnia się zmienia, że zależy ona od wielu różnych czynników, a więc podnosi się pod wpływem pracy mięśniowej, po jedzeniu, jak również pod wpływem czynników psychicznych: podniecenia przed „klasówką", przed spodziewaną odpowiedzią, burzą itp. Ciepłotę należy mierzyć wtedy, kiedy dziecko się źle czuje, lub kiedy rodzice spostrzegają jakieś objawy chorobowe, — inaczej ciągłe mierzenie temperatury doprowadza znowu do przesadnej troski o zdrowie i do wyolbrzymienia drobnych spraw chorobowych.

Ogromny wpływ na rozwój cech neurotycznych dziecka ma stałe przebywanie z nerwowymi osobami dorosłymi. Zwłaszcza, jeżeli dziecko jest jedynakiem i zamiast w pokoju dziecinnym czy na dworze, spędza całe popołudnie tylko z dorosłymi, którzy w domu nie ukrywają swoich dolegliwości, kłopotów i zmartwień, grunt dla rozwoju cech neurotycznych staje się podatniejszy. W tym przypadku w grę wchodzi jeszcze nadmierna pieczołowitość o dziecko, równie szkodliwa jak zaniedbywanie go.

Niewłaściwy tryb życia również przyczynia się do rozwoju nerwic: brak wypoczynku, nadmierna praca, spowodowane często brakiem korelacji między zajęciami szkolnymi a zajęciami dodatkowymi (lekcje muzyki, języków, prace społeczne), zbyt częste odwiedzanie kina, nieunormowany tryb życia domu — wszystko to sprawia, że dziecko źle się dostosowuje do warunków życia i reaguje na nie różnorodnymi objawami nerwicowymi.

Wielką pomocą dla rodziców, którzy nie wiedzą, jak przeciwdziałać pewnym objawom nerwicowym, spostrzeganym u dziecka, jest psycholog szkolny lub poradnie psychologiczne, jakich w dużym mieście jest

wiele. Psycholog może orzec, czy dziecku potrzebna jest pomoc lekarza-specjalisty, czy też należy tylko zmienić sposób postępowania z dzieckiem i jak zmienić.

Janina Rendznerowa.

OSZCZĘDNOŚĆ.

Wśród zagadnień współczesnego życia w Polsce — czy to będzie dziedzina państwa, społeczeństwa, rodziny czy jednostki — sprawy gospodarczo - ekonomiczne zajmują jedno z czołowych miejsc.

Jeżeli chodzi o państwo, to poza obronnością granic zagadnienia powyższe są podstawowe w rozbudowie Polski. Społeczeństwo zaś będzie mogło pracować wydajnie nad podniesieniem kultury i oświaty mas dopiero wtedy, gdy nie będzie zmuszone wydobywać z siebie najgłębszego wysiłku do walki z bezrobociem, a skuteczność tej walki zależy przede wszystkim od racjonalnej gospodarki dobrem materialnym. A weźmy przeciętną rodzinę. Ileż utrapień, ograniczeń i wprost klęsk natury moralnej powoduje zła gospodarka i zły budżet rodziny. Tu życie nad stan, tam brak jakiejkolwiek rezerwy grosza na wypadek choroby, tu przyjęcia, zabawy, stroje, a jednocześnie niezapłacona szkoła, brak książek do nauki dla dziecka, miesiącami zalegająca pensja służącej itd. — te długie łańcuchy pozycji aż nadto dobrze znamy. A nawet osoba samotna, która pracuje tylko na siebie i myśli tylko o sobie, jakże często nie dociąga do końca miesiąca, ostatnie dni przed pierwszym nie dojada, chodzi smętna i zgnębiona z powodu pustki w kieszeni. Nie umie gospodarować własnym groszem, wpada w długi i nierzadko wykoleja się moralnie. Od uporządkowania tych d r o b n y c h rzeczy w życiu pojedyńczego człowieka, dzięki subtelnym ogniwom łączącym wszystko i wszystkich w społeczeństwie — zależą nieraz sprawy wielkie, decydujące.

Zagadnienie oszczędności, jakkolwiek należy do najważniejszych zadań gospodarczych, jest bardzo zaniedbane w naszym systemie wychowania.

Na terenie szkolnym mają te braki wypełnić szkolne kasy oszczędności (S. K. O.). Oszczędzanie w S. K. O. zapewnia młodzieży szkolnej wiele korzyści: umożliwia zbieranie najdrobniejszych kwot, począwszy od jednego grosza, chroni młodzież przed pokusą wydawania pieniędzy bez namysłu na niepotrzebne rzeczy, umożliwia zebranie potrzebnej kwoty na większe wydatki np. na jakąś wycieczkę wakacyjną, kupno aparatu fotograficznego, sprzętu sportowego itd. Nie chodzi o wysokość zebranych oszczędności, tylko o wpajanie w młodzież od najmłodszych lat zamiłowania do porządku w „budżecie".

Byłoby ze wszech miar pożądane zaprowadzenie S. K. O. we wszystkich szkołach.

Stworzenie takich placówek ułatwiłoby w znacznej mierze wychowanie społeczne młodzieży na zapobiegliwych i oszczędnych obywateli. Trzeba by tylko zapewne system ich prowadzenia trochę odciążyć od nadmiernej pisaniny za wielu „arkuszy do wypełnienia”. W starszych klasach młodzież daje sobie z tym radę (choć sarka), ale młodsze dzieci, właśnie te, które najchętniej „oszczędzają”, wymagają niezmiernie dużo pomocy nauczyciela — przecież ruch jest ogromny, obrót groszowy, a ciągle pełno pisania, liczenia, błędów, wpłat i wypłat. Mali „urzędnicy” są wprost oblężeni na pauzach przez „interesantów”.

Inna forma propagandy oszczędności w szkole, to obchody Dnia Oszczędności. Niestety, najczęściej obchód taki polega na tym tylko, że uczniowie zbierają się o wyznaczonej godzinie w sali szkolnej wraz z dyrekcją i gronem nauczycielskim, przychodzi przedstawiciel Kasy Oszczędności i wygłasza przemówienie na temat oszczędności. Treść tych przemówień jest co roku mniej więcej ta sama. Klasy niższe słuchają grzecznie, wyższe — obojętnie, bo już wiele razy słyszeli, że „klęską dla narodu jest wynik braku zmysłu oszczędności — marnotrawstwo; posiadanie kapitałów własnych zwolni nas od zależności ekonomicznej od zagranicy; przyszłość narodu leży w młodzieży”. Dzień Oszczędności przechodzi w życiu szkoły przeważnie blado, w sennym nastroju, nie budząc większego zainteresowania. Jest w tym szablon, jakiś nieodpowiedni stosunek do młodzieży, skutkiem czego sprawy, które ją najgłębiej powinny obchodzić, bez których poznania trudno dzisiaj żyć na świecie, pozostają obce i dalekie. Lepiej jest tam, gdzie referat przygotowuje sama młodzież, jednak i to też rzadko gdzie się udaje naprawdę.

Jeżeli chcemy wpoić w młodzież poczucie oszczędności, wstrętu do bezmyślnego marnotrawstwa, rozumne dążenie do dobrobytu, jeżeli Dni Oszczędności mają mieć powodzenie istotne, nie możemy zapominać, że normalnie uczeń może oszczędzić tylko to, co dostaje od rodziców, a więc i rozkwit działalności S. K. O. zależny jest od warunków materialnych i metody wychowawczej domu. Trudno jest wprowadzić młodych w świat pojęć, leżących poza obrębem ich zainteresowań. Dom jest naturalnym środowiskiem ucznia i najdostępniejszym terenem dla obserwacji młodzieży, ponieważ leży w orbicie jej własnych, osobistych zainteresowań. Dom rodzinny świadomie lub nieświadomie kształtuje najkonkretniej światopogląd młodzieży. Toteż psychiczna reakcja ucznia na nastroje, które pragną wywołać wśród młodzieży Dni Oszczędności, jest uzależniona w bardzo znacznym stopniu od tego, jaka jest dyspozycja w tym kierunku w jego domu rodzinnym.

Jedno z ważnych zagadnień wychowawczych wieku szkolnego, to sprawa tak zwanej pensji miesięcznej czy tygodniowej, wypłacanej młodzieży przez rodziców. Sprawa ta jest bardzo nieuporządkowana w rodzinach. Są domy, które dają dziecku „pensję” nie zawsze proporcjonalnie do skali własnej zamożności i do jego rzeczywistych potrzeb. Bo są sy-

stemy „wszystko dla dziecka”, choćby to było bez sensu, bez kontroli, choćby to miało uczyć młodzież głupiej rozrzutności i marnotrawstwa. W innych znowu domach — skąpią do obrzydliwości i obrzydzają młodzieży każdą rozmowę o wydatkach, upakarzając przy każdej prośbie o pieniądze. Nie dawać pensji nie jest dobrze, bo jednak uczeń musi rozporządzać pewną sumą pieniędzy samodzielnie — nabiera wtedy doświadczenia, rozwija w sobie poczucie odpowiedzialności. Wymagać jednak należy dokładnego prowadzenia rachunków. Jeżeli zachodzi potrzeba udzielenia pożyczki na kupno droższego sprawunku, należy żądać punktualnego zwrotu, choćby to nie było koniecznością budżetu domowego, bo nie wolno demoralizować młodzieży, pozwolić jej się „wykpiwać”. Mając preliminarz wydatków na dłuższy okres, uczeń nauczy się patrzeć w przyszłość, nie będzie wydawał dorywczo pieniędzy, bez namysłu, rozwinie w sobie hierarchiczne poczucie wartości przedmiotów nabywanych.

Dobrze jest z młodszym dzieckiem wspólnie omawiać preliminarz jego wydatków, radząc zawsze odłożyć, choćby małą sumkę na wydatki niespodziewane. W ten sposób można rozwijać w młodzieży zdolność patrzenia w przyszłość. Z biegiem czasu wspólne narady nad budżetem dziecka mogą przejść do omawiania budżetu całej rodziny, szczególnie z młodzieżą dorastającą, co doskonale wpływa na ducha współpracy w rodzinie. O ile dopuścimy starszą młodzież do głosu przy układaniu rodzinnego budżetu, unikniemy zbyt wygórowanych żądań, sporów, i nieraz bardzo przykrych zadrażnień, które zatruwają atmosferę rodzinną.

Oszczędność musi wejść w krew polskiego dziecka, musi nad tym czuwać dom, oczywiście nie przez morały, ale przez przykład. Jednostka przyzwyczajona w domu do racjonalnego oszczędzania, w przyszłości, kiedy stanie do pracy w społeczeństwie, będzie umiała również dobrze gospodarować groszem publicznym. A nie zapominajmy, że gdzie kończy się ład w finansach prywatnych, nierzadko zaczyna się nieuczciwość i na terenie publicznym.

Od rozrzutności do nieuczciwości jest jeden krok tylko. Społeczeństwo nie doceniające wagi problemu oszczędności w wychowaniu młodzieży przygotowuje zastępy nieuczciwych, niemoralnych obywateli.

Rodzina, żyjąca bez budżetu, to klęska społeczna, to zarodek marnotrawstwa sił narodu, ruina dóbr, na których państwo opiera swą równowagę i siłę.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Matka i córka.

Pogadanka wygłoszona przez Radio w dziale: „Dyskutujmy”.

— Dlaczego tak późno wróciłaś wczoraj? Czekałam na ciebie z kolacją.
— Pocóż Mama czekała. Czyż nie prościej było zjeść samej o zwykłej porze.
— Wychodząc mówiłaś, że zaraz wrócisz.

— No tak, mówiłam, ale zaszłam do koleżanki i tam zatrzymali mię na herbacie.

— Mogłaś zatelefonować.

— Nie, nie mogłam, bo oni nie mają telefonu. Zresztą choćby był, to nie widzę powodu, dlaczego mam się zaraz opowiadać, gdy chcę trochę później wrócić.

— Już się irytujesz. Od jakiegoś czasu cokolwiek ci powiem, wszystko przyjmujesz dziwnie niechętnie.

— Bo też od dłuższego czasu mama ciągle ma do mnie o coś pretensje.

— Ależ, moja droga, przecież to chodzi o drobiazgi.

— Moja mamo, życie składa się z drobiazgów i one właśnie stwarzają taki, a nie inny nastrój. U nas ten nastrój jest niemożliwy do zniesienia.

— Przesadzasz. A zresztą to twoja wina, to ty głównie ten nastrój wytwarzasz.

— Wcale nie ja, tylko mama. Mama za nic w świecie nie chce we mnie uznać samodzielnego człowieka i stąd właściwie płyną wszelkie nieporozumienia.

— Jak możesz takie rzeczy mówić! Przecież zostawiam ci całkowitą swobodę.

— Tak, teoretycznie. Praktycznie mama uważa, że wychodząc z domu powinnam dokładnie zameldować, gdzie idę, kiedy wracam, z kim będę — zresztą każde moje wyjście uważa mama za zło konieczne. Tak samo, ile razy chcę pieniędzy, to muszę powiedzieć na co. Jeżeli mam ochotę na kapelusz niebieski, to przedtem toczy się długa dyskusja czy nie lepszy byłby biały. I tak na każdym kroku. Nie wiem, gdzie przy ciągłej kontroli jest miejsce na „całkowitą swobodę".

— Mylisz się, moja droga. To, co mówisz, nie oznacza wcale ograniczenia twojej samodzielności, to poprostu zwyczajna troskliwość matki o dziecko.

— Dlaczego w takim razie ta troskliwość odnosi się tylko do mnie. Dlaczego nie przyjdzie mamie na myśl zastosować jej do Olka i żądać od niego, aby wspólnie z mamą wybierał krawaty i żeby się opowiadał, skąd wraca wieczorem

— To co innego. Zupełnie inny jest stosunek córki do rodziny niż syna. Córka stanowi zawsze cząstkę domu, dużo więcej w nim przebywa niż chłopiec, żyje bardziej życiem rodzinnym — tak zresztą, jak każda kobieta. Stąd wszelkie jej sprawy stają się równocześnie sprawami rodzinnymi. Wnikanie matki w szczegóły dotyczące córki, ta „kontrola" jak ją z oburzeniem nazywasz, nie wynika z niczego innego jak właśnie z zespolenia córki z domem rodzinnym.

— Widzi mama! Mama sama przyznaje, że na córkę nie patrzy się, jak na samodzielnego człowieka, ale jak na kogoś nieodwołalnie złączonego z rodziną. Rodzice albo mąż — tak się jeszcze rozumuje podświadomie, jak za dawnych czasów. Czy pamięta mama, co się działo jak Zosia zdała maturę? Ciocia Hela uszczęśliwiona mówi do niej: „Poczekaj, kochanie! Teraz ci urządzę samodzielne życie" — naturalnie to „samodzielne życie" miało trwać niedługo, tylko do zamążpójścia Zosi i polegać na tym, że Zosia miała chodzić na wykłady, dostawać pieniądze na drobne wydatki i nawet — szczyt swobody — przyjmować znajomych młodych ludzi w saloniku. No i wielka awantura, kiedy Zosia naprawdę urządziła sobie samodzielne życie, zamieszkała osobno, wybrała studia według swego upodobania i wogóle poszła własną drogą. Ciotka była tak oburzona, jakby jej córka popełniła zbrodnię, a ostatecznie ona miała przecież prawo tak postąpić.

— Prawo! Wy teraz wszystko opieracie na prawie. Takie czynniki, jak uczucie, poświęcenie wykreślacie zupełnie ze swego słownika. Pewnie, że Zosi nikt do sądu podać nie może, ale mnie się zdaje, że w życiu rodzinnym coś innego odgrywa rolę, nietylko suche prawo. Zresztą, nawet opierając się na tym ujęciu, też możnaby się zastanowić, czy rodzice nie mają pewnych praw do dorosłej

córki, czy ta córka nie ma obowiązków względem domu? Przecież ten dom to nie jest hotel, który się opuszcza z chwilą, gdy przestaje być wygodny. Wasza walka o samodzielne życie nie jest niczym innym, jak chęcią zrzucenia z siebie wszelkich obowiązków i urządzenia się możliwie najwygodniej. Dom rodzinny krępuje, dom rodzinny nakłada pewne hamulce, ogranicza swobodę, najprościej więc odsunąć się od domu. Niech się dzieje co chce, byle mnie było dobrze.

— A dlaczego właściwie ma mi być źle? Dlaczego nie wolno mi życia urządzić tak, jak dla mnie będzie najlepiej? Z jednej strony słyszy się ciągle, że rodzice żyją dla dzieci, ileż matek podkreśla to, że jedynie dobro ich córek zmusza je do pewnego trybu życia, naprzykład do prowadzenia domu w mieście, utrzymywania stosunków i tak dalej. Z drugiej strony, córka ma żyć tylko dla domu. Ostatecznie więc, co jest dla czego: dom dla córki czy córka dla domu?

— Mnie się zdaje, że jest tu wzajemność. Czy zastanawiałaś się kiedy nad ogromem poświęcenia, jakie rodzice, a szczególnie matki wkładają w wychowanie dzieci? Przypomnij sobie z własnego dzieciństwa wszystkie te momenty, kiedy żyłam jedynie dla ciebie. Zresztą nie tylko w dzieciństwie. Ileż razy i teraz odmawiam sobie rzeczy nawet potrzebnych, tylko dlatego, żebyś ty mogła mieć nową suknię. Nic dziwnego, że to mi daje prawo do wnikania w twoje życie. Powiedziałaś, że nie widzisz dlaczego nie masz sobie urządzić życia tak, jak ci najlepiej i najwygodniej. To jest właśnie egoistyczna postawa młodego pokolenia. Jeżeli z rodziną jest dobrze, to ostatecznie można w domu pozostać, jeżeli jest źle, to czym prędzej trzeba z tego domu uciekać. Zamiast stać się czynnikiem twórczym w życiu rodzinnym, obiera się ucieczkę jako łatwiejszą drogę. Zawsze swoje powiem, że postępek Zosi, która tak brutalnie odgrodziła swoje życie od życia matki, zupełnie nie wzbudza we mnie zachwytu.

— A ja uważam, że postąpiła bardzo mądrze i uniknęła wielu przykrości. Ciotka w swoim arbitralnym usposobieniu nigdy nie uznałaby prawa Zosi do całkowitej swobody. Byłoby tak, jak z tą moją znajomą, która mieszka w sąsiednim domu. Jak mamie się zdaje, ile ona ma lat?

— No ze trzydzieści parę.

— Otóż to. Dokładnie trzydzieści cztery lata. Ma od kilku lat posadę, jest więc nie tylko niezależna finansowo, ale właściwie utrzymuje matkę, no i stosunki między nimi są tego rodzaju, że matka jej robi awantury jak wróci później do domu, kwestionowana jest każda osoba, którą zaprosi, a choć daje pieniądze, nie wolno jej się wtrącać do gospodarstwa domowego, bo zaraz jest scena i płacz, że usuwa matkę od wszystkiego. Czyż nie lepiej w takim razie odrazu zamieszkać osobno?

— Nie bardzo się dziwię, że ta matka nie chce być emerytką na łaskawym chlebie u córki, tylko pragnie mieć swój głos w sprawach domowych. Zosia nie może przewidzieć, jak się jej stosunki z matką ułożą, a ona z góry przesądza, że jej będzie lepiej samej i opuszcza matkę.

— Gdyby Zosia jednak wyszła za mąż i wyjechała gdzieś daleko, to mama i ciocia uważałyby za zupełnie naturalne, że jej kontakt z matką zostałby przerwany.

— Naturalnie. Z chwilą, kiedy wychodzi za mąż, staje wobec zupełnie nowych obowiązków, którym musi się całkowicie poświęcić.

— Widzi mama, musimy się porozumieć na punkcie dwóch bardzo ważnych spraw: poświęcenia i tymczasowości. Mama podkreśla fakt, że rodzice poświęcają się dla dzieci, ja na to odpowiem może ostro, ale w moim przekonaniu, jeżeli dzieci są małe, to rodzice wychowując je spełniają właśnie najzwyczajniejszy obowiązek, jeżeli zaś są dorosłe, to żadne specjalne poświęcenie nie jest potrzebne. Przeciwnie, to stwarza sztuczną i ciężką atmosferę domową. Jest to

rzecz z góry do przewidzenia, że każde dziecko musi chorować, musi się uczyć, ma rozmaite trudne cechy charakteru i że ktoś musi się nim zajmować. Dziecko ma więc wszelkie prawo do opieki swych rodziców. Naturalnie, że tu wchodzi w grę uczucie i że im większa jest miłość matki do dziecka, tym pełniejsza i ofiarniejsza będzie ta opieka, ale też wielkie pytanie, czy czuwanie matki przy łóżku dziecka — o ile ona naprawdę je kocha, można nazwać poświęceniem. Mnie się zdaje, że to jest naturalny zupełnie objaw miłości macierzyńskiej. A co do dorosłych dzieci, to po co jakieś poświęcenia? Mama mówi, że odmawia sobie potrzebnych rzeczy, żeby mnie kupić suknię, a jabym sto razy wolała, żeby to właśnie mama sobie suknię kupiła i żebyśmy mogły razem gdzieś pójść. Byłoby mniej poświęcenia, a więcej wspólnej przyjemności. A teraz punkt drugi, ta tymczasowość. Dla każdej prawie matki okres życia córki od chwili jej dorośnięcia, to czas przejściowy, który trwa do momentu jej zamążpójścia. Wszystko, co się w tym okresie dzieje, jest nieważne, gdyż jest tymczasowe.A dla nas — może nie dla wszystkich, ale jednak dla bardzo wielu — to wcale nie jest tymczasowe. Ja wcale nie wykluczam małżeństwa, ale nie chcę czekać na męża.

— Przypisujesz mi pojęcia, które dawno przestały być aktualne. Tak znów zacofana nie jestem.

— Świadomie może nie, ale podświadomie mama tak jednak myśli. Uważa mię mama za niedojrzałą istotę, którą trzeba troskliwie ochraniać i która ostatecznie może sobie to i owo robić, byle niezbyt oddalając się od gniazdeczka. No niech się mama przyzna, czymby się mama więcej zmartwiła, czy jakby się Olek obciął na egzaminie, czy gdyby mnie to spotkało?

— No, zawsze to dla niego ważniejsze.

— Otóż to właśnie. A przecież dla mnie jest to takie samo przeżycie, jak dla niego, może nawet większe — ale tego się pod uwagę nie bierze. Przeciwnie. Właściwie uważa się, że ten czas, który poświęcam nauce, powinien być raczej użyty na rozmowy rodzinne, tak zwane „współżycie z rodziną".

— Przecież nigdy nie robię ci wymówek.

— Bezpośrednio nie, ale pośrednio ileż to razy mama przy mnie utyskuje nad egoizmem młodego pokolenia, nad niezdolnością obecnych dziewcząt do życia w rodzinie. A to powiedzenie, gdy nakładam kapelusz: „znów wychodzisz?" — czy to nie wymówka?

— Słuchaj, w tym co mówisz jest może trochę racji, ale spróbuj teraz wczuć się w moje przeżycia i zrozumieć moje stonowisko. Przede wszystkim ustalmy, że związek między matką a córką jest zawsze silniejszy, niż między matką a synem, bo przecież chodzi o dwie kobiety. Stąd matka dużo dłużej ingeruje w życie córki. I nagle przychodzi taki moment, że dziecko mówi: „dość". Jestem samodzielna, proszę się do mnie nie wtrącać. Dotąd mama była mi potrzebna, ale teraz obejdę się bez opieki". Tymczasem matka, to nie jest opiekunka płatna, która odchodzi spełniwszy swoje zadanie. W matce tkwi w dalszym ciągu pragnienie, by żyć życiem dziecka. I to, co ty bierzesz za zamach na twoją samodzielność, nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak chwytaniem się drobiazgów, aby przedłużyć to współżycie. To nie o to chodzi, czy twój kapelusz będzie biały czy niebieski, ale sam fakt wspólnego wybierania tego kapelusza stwarza pewien łącznik między nami. Wy sobie upraszczacie sprawę twierdząc, że matki są zacofane i nie mogą skutkiem tego wczuć się w obecne życie. Jedno machnięcie ręką, pogardliwe zdanie „mama tego i tak nie zrozumie" i sprawa załatwiona. A matka broni się właściwie przeciwko temu wyrzuceniu za nawias. W miarę zmniejszania się sił, w miarę zanikania aktywności coraz więcej daje się we znaki samotność i stąd większe pragnienie, by córka zostawała w domu, aby wy-

tworzyło się jakieś wspólne życie, a nie żeby ten dom był miejscem, do którego się przychodzi jedynie, aby się pożywić i przespać.

— Tak rozumiem, że fakt oddalania się dzieci od rodziców może być bolesny, czy jednak mama nie przypuszcza, że właśnie to oddalenie byłoby dużo mniejsze, gdyby rodzice sami wyczuwali, że nadszedł moment zmiany stosunku. Dlaczego ten stosunek ma być zawsze z góry na dół? Dlaczego nie jest oparty na zwyczajnym podejściu jednego dojrzałego człowieka do drugiego, również samodzielnego człowieka? Jeżeli naprzykład ja w tej chwili poproszę mamę o dwadzieścia złotych, to pierwsze pytanie mamy będzie: na co ci tyle pieniędzy? I to odrazu stwarza dystans. Przecież ja i tak tych pieniędzy nie użyję na nic nie odpowiedniego, więc po co konieczność tłumaczenia się?

— Zapominasz o jednej rzeczy, o doświadczeniu, jakie ma starsze pokolenie. Wy dopiero wchodzicie w życie, my już je mamy za sobą. Nic dziwnego, że pragniemy was ustrzec od wielu niepowodzeń, pragniemy jak najdłużej kierować waszymi krokami. Jeżeli widzę nawet obcego człowieka, który ma za chwilę popełnić głupstwo, to nie mogę się powstrzymać od tego, żeby go nie ostrzec. Cóż dopiero, jeżeli chodzi o rodzoną córkę. Wyśmiewasz się, że matka Zosi chciała jej urządzić życie, a niezaprzeczenie ona dużo więcej wie o życiu niż Zosia i prawdopodobnie wiele zagadnień lepiejby rozwiązała.

— Tak, ale z tym małym zastrzeżeniem, że to rozwiązanie napewnoby Zosi nie odpowiadało. Przecież życie się zmienia. My obecnie myślimy zupełnie inaczej, innymi kategoriami, niż nasze matki w tym wieku, stoimy wobec zupełnie innych problematów, mamy inne obowiązki. A zresztą, pomijając nawet różnicę warunków, wogóle trzeba chyba powiedzieć, że każdy człowiek musi sobie sam zdobywać doświadczenie życiowe. Każdy żyje sam za siebie. Oczywiście można korzystać z pomocy innych, ale jest różnica w tym, jeżeli to jest rada czy pomoc, o którą się zwracasz, a co innego, jeśli mam sobie narzucony pewien kierunek czy sposób postępowania. A już jeżeli chodzi o dziedzinę uczuciową, to tu wszelka ingerencja jest niedopuszczalna.

— A to dlaczego? Czy myślicie, że od was świat się zaczyna! Że my nie mieliśmy przeżyć uczuciowych? Te nasze przeżycia upoważniają nas właśnie do przestrzegania was przed popełnieniem błędu.

— Przepraszam. Jedynie co mama może powiedzieć, to: „w takiej, a takiej sytuacji miałam takie, a takie uczucia, zrobiłam tak a tak”. Skąd mama może wiedzieć, jak ja naprzykład zareaguję w identycznej sytuacji. Nasze reakcje mogą być krańcowo różne i co mi wtedy przyjdzie z mamy doświadczenia? Ono tylko zacieśni mój sąd Podziwiam matki, które chcą dawać córkom nietylko kapelusz ale i męża. Jak to jest poetycznie powiedziane: „każdy jest kowalem własnego szczęścia”! Ja powiem mniej poetycznie a dobitniej, że: im mniej osób będzie się do mnie wtrącać, tym pewniej wybiorę właściwie, bo wybiorę według własnego instynktu, a nie narzuconego sądu!

— Ale mimo całego subiektywizmu zgodzisz się jednak, że są pewne cechy, o których z góry można powiedzieć, że absolutnie nie dają gwarancji nietylko szczęścia, ale nawet normalnego współżycia.

— No oczywiście, jeżeli się zakocham w nałogowym pijaku, albo karciarzu, to ktoś, kto wie o tych nałogach, powinien mnie ostrzec, ale dalsza decyzja zależy już całkowicie ode mnie.

— Wiesz, co mnie uderza w tej całej dyskusji, to, że rozpoczęła się ona od zupełnie zdawałoby się nieważnego mojego zapytania. To byłoby dowodem, że są to sprawy bardzo istotne, które wybuchają przy najmniejszej sposobności.

Irena Gombrowicz.

Dialog „Matka i córka" przeznaczony do zagajenia dyskusji radiowych nie zawiera rozwiązania omawianego zagadnienia. Autorka podaje jego oświetlenie z dwóch punktów widzenia. Prosimy więc szanownych czytelników, aby wzięli udział w tej dyskusji i wypowiedzieli się na temat wzajemnego stosunku matki i córki. *Redakcja*

Szkoła państwowa a prywatna.

W artykule p. Stefanii Michalskiej z 10 n-ru r. 1937 „Rodziny i Dziecka" czytamy: „Nie ma nauczycieli szkół państwowych i prywatnych, jak nie ma odrębnych środowisk wychowawczych w tych i w tych szkołach. Są tylko gorsi i lepsi pedagogowie". Jest to zdaniem autorki „ostateczny wniosek" wyciągnięty z rozważań na temat różnic pomiędzy szkołą państwową a prywatną. Obok tego jednak wniosku wyczytać można z sensu całości głębokie przekonanie o wyższej wartości wychowawczej i nauczającej szkoły prywatnej.

Sądzę, że podstawowym obowiązkiem każdego, kto zabiera głos w sprawach wychowania i nauczania jest unikanie dogmatyzmu, a wręcz przeciwnie, możliwie jak najbardziej troskliwe analizowanie i badanie konkretnych sytuacji wychowawczych. Tylko takie stawianie sprawy pozwala na uniknięcie zasadniczych błędów. Dlatego też, niedopuszczalny jest według mego skromnego zdania sąd orzekający, iż współczesna nam szkoła państwowa jest gorsza lub lepsza od szkoły prywatnej wogóle, ponieważ sąd ten jest zasadniczo formalnie błędny.

Nie ma dwóch szkół jednakowych, jak nie ma dwu jednakowych ludzi. Można mówić tylko o pewnych szkołach państwowych i niektórych prywatnych. Dużo praktyczniej jest przypuścić, iż istnieją szkoły państwowe wzorowe, zarówno pod względem wychowawczym jak i nauczającym, podobnie jak i prywatne; jak z drugiej, że równocześnie współistnieją także i szkoły złe. Nie ulega wątpliwości, że można dostrzec pewne cechy występujące częściej w szkołach prywatnych niż w państwowych i odwrotnie, co decyduje o t.zw. atmosferze wychowawczej. Warto dokonać przeglądu niektórych z pośród takich cech obu typów szkół, nieco jednak dokładniej i konkretniej, niż to uczyniła Szanowna Autorka.

Czytamy w artykule: „między szkołą prywatną a państwową jest tylko ta różnica, że pierwsza jest utrzymywana przez jednostki pobierające na ten cel wysokie wpisy, a druga przez państwo, że nauczycielstwo w szkole państwowej i prywatnej ma nierówne uposażenie". Ale można też patrzeć na tę rzecz nieco od innej strony i mówić: różnica pomiędzy szkołą prywatną a państwową polega na tym, że pierwsza jest w wielu wypadkach dobrze rentującym się przedsiębiorstwem, gdy natomiast szkoła państwowa eliminuje ten moment z reguły. Ta różnica musi wpływać na atmosferę wychowawczą szkoły. Inaczej przecież odnosimy się, nawet wbrew woli, do dobrego klienta niż do złego. A dobrze płacący uczeń w szkole prywatnej jest właśnie dobrym klientem.

Z cytowanego wyjątku i ducha artykułu wynikałoby, że lepsza sytuacja materialna nauczyciela szkoły prywatnej wpływa na jego postawę wychowawczą i efektywność pracy. Można na to odpowiedzieć, że lepszość tej sytuacji jest w rzeczywistości dość często illuzoryczna, ponieważ znane są wszystkim wypadki niezbyt solidnego wywiązywania się szkół prywatnych ze swoich zobowiązań finansowych względem nauczycieli (wypłacanie wynagrodzenia z dużym opóźnieniem).

Fakt stwierdzony przez Szanowną Autorkę, iż szkole państwowej nie zależy na uczniach, posiada także dodatnie znaczenie wychowawcze, uczeń wie bowiem, że musi podlegać normom szkolnym, ponieważ szkoła nie będzie tolerowała każdego zachowania się. Stąd silny czynnik hamujący. Znam dostatecznie

dużo szkół państwowych, w których ucznia „trudnego" otacza się szczególną troską, usiłując dopomóc mu w dostosowaniu się do szkoły. Prawda, dość częste są wypadki, kiedy szkoła państwowa pozbywa się ucznia, z którym nie może sobie poradzić. Wobec jednak nagminnego dążenia do zapełniania dziećmi szkół ogólnokształcących bez względu na ich uzdolnienia, postępowanie takie jest niekiedy bardziej korzystne, niż sztuczne przeciąganie z klasy do klasy dobrego klienta, bo takie wypadki zdarzają się , (już pozostawienie bowiem np. ucznia na drugi rok wywołuje przeniesienie się tegoż do innej szkoły). Możnaby tu dodać, że poczucie pewności i spokoju o swój los nie zawsze towarzyszy nauczycielowi pracującemu w szkole prywatnej. Nie wynika stąd wcale jakoby w państwowej było zawsze idealnie pod tym względem (wieczyste kontrakty); możnaby się dość szeroko rozpisywać na temat atmosfery wychowawczej w związku z tymi, tudzież innymi momentami poruszonymi przy omawianiu atmosfery panującej w szkole prywatnej względnie państwowej.

Nie ulega wątpliwości, że w interesie państwa leży kształtowanie psychiczne młodzieży w sposób określony i jednoznaczny. Tym celom w większym stopniu odpowiada szkoła państwowa niż prywatna, przyczem spełnia ona również lepiej zasadę jednakowego startu życiowego, którego zapewnienie młodemu pokoleniu jest obowiązkiem państwa. Są niewątpliwie szkoły państwowe lepsze i gorsze. Skala rozpiętości pomiędzy nimi jest tu jednak mniejsza niż w szkołach prywatnych. Nie można zapominać, że szkoła prywatna odegrała doniosłą rolę pod zaborami, czy jednak i nadal w niepodległym państwie polskim powinna takąż rolę odgrywać? Zabierając głos w dyskusji „szkoła prywatna czy państwowa", byłbym skłonny odpowiedzieć: przesuńmy rzecz całą w przyszłość, szkoła winna być monopolem państwa, a zatem szkołą państwową, ta bowiem tylko w niedalekiej przyszłości będzie w stanie spełnić wszystkie obowiązki, jakie na niej ciążą. W odniesieniu do rzeczywistości, można odpowiedzieć zdecydowanie tylko o pewnej konkretnej określonej szkole, o wszystkich zaś — dopiero po przeprowadzeniu szczegółowych badań porównawczych, a i to z licznymi zastrzeżeniami. A zatem w chwili obecnej: nie wogóle szkoła państwowa lub prywatna, lecz jakaś ściśle określona.

Marian Witkowski.

Czy uczeń musi robić to, co chce, czy to, co trzeba?

Dyskusja na ten temat „ojca i syna" (Nr 1 „Rodziny i Dziecka") nasuwa niemałe refleksje wychowawcy, patrzącemu w głąb poruszonych w dyskusjach spraw.

Czy uczeń musi robić to, co trzeba? Tak. Szkoła chce przygotować ucznia do życia, a życie zażąda od niego w przyszłości, by czynił to, co trzeba.

Szkoła chce wszczepić poczucie konieczności podporządkowania się celowym nakazom wykonywania obowiązków nie tylko łatwych i przyjemnych; chce budzić uczucie zadowolenia z sumiennie wykonywanych prac nakazanych.

Czy uczeń musi robić to, co chce? Tak. Inaczej szkoła wychowałaby tylko biernego wykonawcę nakazów życiowych i narzędzie cudzej inicjatywy. Szkoła kultywuje karność obywatelską, lecz zarazem chce wychować inicjatorów, bojowników o lepszą przyszłość narodu i ludzkości. Szkoła chce dać przyszłości nowatorów, mających odwagę łamania starych form, a tworzenia nowych dla nowych zdobyczy i nowych wartości.

W poszukiwaniu terenów, na których uczeń mógłby robić „to, co chce”, szkoła tworzy dla niego kółka naukowe, społeczne, artystyczne, prowadzi czytelnie, świetlice.

Czy to wystarcza, by zaspokoić „prywatne zainteresowania” ucznia? Czy właśnie absorbuje go jeszcze bardziej, nie pozostawiając miejsca na „prywatne życie”?

Nie ulega wątpliwości, że młodzież dzisiejszej szkoły średniej jest zaabsorbowana pracą, że uczeń sumienny ma czas całkowicie zajęty. Stąd może powstaje odruchowa samoobrona młodych: „prawie cała nasza klasa stara się zredukować tą pracę do minimum... odrabiamy to, co w naszym pojęciu jest najważniejsze”.

Obciążenie ucznia lekturą uzupełniającą ma swoje źródło w nowych celach nauczania. Nie tylko i l o ś ć opanowanych wiadomości stanowi cel nauczania, lecz j a k o ś ć przyswojonej wiedzy, a więc m e t o d a p r a c y w zakresie danego przedmiotu. Każdy nauczyciel zaleca, lub żąda lektury uzupełniającej, bo polonista chce wychować samodzielnego krytyka i estetę, bo historyk chce rozwijać syntetyczne myślenie, bo przyrodnik chce obudzić wnikliwą obserwację i zdolność świadomego logicznego wnioskowania. A biedny uczeń pyta: „jakże mam się uczyć, by położyć nacisk na każdy przedmiot?”

Mieliśmy tyle sił, zapału i odwagi, że oto wprowadziliśmy nową treść w mury szkoły, w pracę szkolną. Wleliśmy ją w stare formy. W zdobywczym entuzjaźmie twierdziliśmy, że nie chodzi o formy, że przekształci je w przyszłości nowa treść sama.

Może nadeszła już chwila, gdy treść zaczyna rozsadzać stare formy i woła o nowe? Jaką drogą pójdziemy, by uczeń miał czas na rozwijanie obudzonych w nim „prywatnych zainteresowań”, na wzbogacające się „prywatne życie”?

W jednym z gimnazjów warszawskich od kilku lat istnieje tak zwany „dzień wychowawczy”. W tym dniu czwartkowym nie odbywają się w szkole lekcje programowe, lecz pozalekcyjne zajęcia grup klasowych i międzyklasowych w pracowniach szkolnych, bibliotekach, kółkach. Uczeń sam dobiera sobie teren pracy na dzień czwartkowy, sam ją planuje, sam zbiera wyniki. Może tam powstają zręby form dla nowej treści? — W niektórych szkołach na prowincji istnieją t.zw. „wolne popołudnia” wypełniane rozmaitą treścią, zależnie od inicjatywy szkoły i potrzeb środowiska uczniowskiego.

Uczeń ma jedno popołudnie w tygodniu wolne od nauki programowej, które może poświęcić swym „prywatnym” zainteresowaniom pozalekcyjnym. Szkoła poddaje i organizuje tereny w obrębie „wolnego popołudnia”, na których uczeń może znaleźć poszukiwane „własne” przeżycia. — Może i tam kiełkują nowe możliwości?

Ci, co przemyśleli i realizowali zagadnienie „wolnego popołudnia”, przeszli już różne etapy realizacji i doszli do pewnych wyników. Przy współpracy i współinicjatywie szkoły i kół rodzicielskich moglibyśmy wejść na drogę znacznych zdobyczy w terenie „prywatnych zainteresowań” i „prywatnego życia” młodzieży.

Refleksje na temat dyskusji „ojca i syna” niepokoją myśl wychowawcy. Zawsze czuwające sumienie pedagogiczne domaga się rozwiązania wątpliwości. Czy należy szukać nowych form? Czy przewartościować dawne?

Elżbieta Bąkowska

GŁOSY RODZICÓW.

Rodzice a polityka w szkole.

Konspiracja w czasach przed odzyskaniem niepodległości miała u nas chlubną kartę dziejową. Ogarniała całe społeczeństwo z młodzieżą włącznie. Nic dziwnego. Była przejawem niezłomnej woli do życia narodu, była zdrowym objawem w niezdrowej sytuacji bytu narodowego.

Sytuacja dziś zmieniła się gruntownie, ale zachował się jakoś siłą inercji chyba, niezdrowy już dziś urok i nimb metod konspiracyjnych w naszym życiu narodowym.

Na tym uroku, na upodobaniu młodych do spraw niebezpiecznych, do tajemnicy, spekulują dziś różne elementy rozkładowe i skrajne, takie czy inne przybierające miano, aby wciągnąć młodzież, i to młodzież szkolną, do różnych tajnych kółek i organizacyj.

Są pośród elementów skrajnych i wywrotowych prawdziwi spece od propagandy. Potrafią oni zaapelować do najbardziej ludzkich i szlachetnych uczuć, a jednocześnie podjudzić zręcznie nienawiść i wykoszlawić rzeczywistość tak, aby służyła ich celom, a gdzie trzeba posłużyć się i świadomym kłamstwem.

Zatruty nurt różnych skrajnych propagand i haseł przenika do szkoły średniej i łatwiej znajduje pole do swej trującej działalności, niżby się to zdawać mogło. Podburza niezrównoważone afekty, podjudza zbuntowany negatywizm niedowarzonych, „z sobą skłóconych” dusz dojrzewającego pokolenia.

Dlaczego tak się dzieje? Przecież młodzież wcale nie tak łatwo sobie zjednać. N i e ł a t w o, i a ż z a n a d t o ł a t w o.

To brzmi paradoksalnie, ale właśnie młodość jest wiekiem paradoksu, wiekiem, kiedy wstrząsowi ulega cała równowaga psychiczna, kiedy najdosłowniej, jak najbardziej fizjologicznie „burza szaleje we krwi”, kiedy przekształca się i dojrzewa organizm, kiedy z chaosu skłóconych uczuć i nadmiernie pobudzonej wrażliwości wyłania się własne spojrzenie na świat.

Młodzież trudno zdobyć dla rzeczy, które jej się wydają narzucone. Młodzież jest nieufna, kiedy czuje, że chcą nią pokierować.

Ale, z drugiej strony, młodzież łatwo się daje zapalić do każdej idei, która jej się wyda wielka i słuszna. Nic dziwnego, że daje się wziąć na lep jaskrawych, pięknie brzmiących haseł.

Brak jej krytycyzmu, bo to przecież wiek, kiedy się dopiero kształtuje sąd własny, kiedy się krystalizuje charakter. Wciąganie młodzieży w tym wieku do akcji politycznej, podniecanie jej niezrównoważonych afektów jest dla niej ciężką i wielką krzywdą.

Słusznie twierdzi Spranger, że w tym wieku powinien być przestrzegany c z a s o c h r o n y od wszelkiej polityki. Oczywiście, jest rzeczą jasną, że przekonania polityczne młodzieży urabiają się od lat

młodszych. Urabia je dom, środowisko, szkoła. Ale między urabianiem przekonań, które jest rzeczą nieuniknioną, a wciąganiem do jakiejkolwiek akcji nieodpowiedzialnej i ryzykownej leży cała przepaść.

Młodzież obecna, szczególniej młodzież sfer inteligenckich, zachwiana została przez atmosferę doby kryzysowej w swej wierze w przyszłość, w możliwość zdobycia powodzenia w pracy zawodowej. Sytuacja zmieniła się i zmienia, ale postawa nieufności i zniechęcenia pokutuje w niej nadal. Młode pokolenie, zbyt wcześnie otrzaskane z widokiem nędzy, utraciło wiarę w skuteczność akcji społecznej. Dlatego też chętnie przybiera pozory wielkiej trzeźwości, nieraz graniczącej z cynizmem, ale pod tą powłoką kryje się odwieczny u młodych głód ideału.

Młodzież zniechęcona jest do werbalizmu, do pięknych słów, ale, gdy w sposób jaskrawy spreparowana zostanie na jej użytek przez nieodpowiedzialne elementy rzeczywistość krzywd społecznych, antagonizmów klasowych i narodowościowych, młodzież gotowa jest pójść z wrodzonym sobie, a tylko przez przekorę tłumionym zapałem, na lep wszelakich radykalizmów.

Ta sama jednak młodzież, mimo swego indywidualizmu i negatywizmu, chętnie i radośnie daje się wciągać w pracę zespołową, gdy znajdzie odpowiednich przywódców, którym ufa, gdy czuje, że ją traktują serio, a nie z pobłażliwym, czy też krytycznym poczuciem wyższości.

Młodzież polska jest do gruntu patriotyczna, i jeżeli zaapelować do jej zdrowego instynktu narodowego, łatwo i chętnie wciągnie się w pracę, mającą na celu obronność państwa, bo czuje, że to sprawa równie niezbędna, jak chleb powszedni, jak powietrze dla płuc.

Wszystko zależy od tego, jak się do młodych podejdzie. Czyż nie najlepszym tego przykładem są istniejące na terenie szkoły organizacje społeczne, które tak ważną rolę mogą i powinny odgrywać w wychowaniu społecznym młodzieży.

Wszystko w nich przecież zależy od kierownictwa, od podejścia do młodzieży. Są szkoły i klasy, gdzie harcerstwo pociąga i absorbuje młodzież. Są inne, gdzie zaledwie wegetuje. To samo da się powiedzieć o organizacjach Czerwonego Krzyża i innych.

Dom może wiele przyczynić się do urobienia postawy młodzieży. Nie przez gromy ciskane na wszelkie partie i agitacje, nie przez groźby i represje, a przez podejście przyjacielskie do własnych dzieci, do ich kolegów, przez rzeczowe omawianie z nimi zagadnień aktualnych, przez podsuwanie dobrej i ciekawej lektury, a nade wszystko przez zrozumienie ze strony rodziny, jak wielką krzywdą dla młodzieży szkolnej jest wciąganie jej w wir wszelkiej akcji i propagandy politycznej, bez względu na to, jakie są tego domu polityczne tendencje i przekonania.

I dlatego z radością, i to podwójną radością powinniśmy, my rodzice, powitać okólnik p. Ministra W. R. i O. P. przeciw tajnym organizacjom w szkołach.

Oto tekst oficjalnego komunikatu w tej sprawie: Ponieważ niektóre ugrupowania polityczne usiłują przeniknąć do szkół, aby propagować wśród młodzieży szkolnej swe hasła, a nawet organizować tajne zespoły, p. minister W. R. i O. P. zwrócił się do kuratorów okręgów szkolnych z żądaniem, aby użyli wszelkich środków, celem przeciwstawienia się tej penetracji.

P. Minister W. R. i O. P. wskazał szereg pedagogicznych środków zaradczych, jakie szkoła powinna zastosować w tym względzie wobec młodzieży szkolnej.

Specjalnie polecił p. Minister, aby zagadnienie tak niezmiernie ważne dla normalnej pracy szkolnej, omówione było na zebraniach Patronatów i Kół Rodzicielskich. Rodzice winni zdawać sobie sprawę z tego, że wszelka działalność polityczna wśród młodzieży przynosi jedynie szkodę. To też rodzice winni współdziałać ze szkołą, aby przeciwstawić się wciąganiu młodzieży szkolnej do jakiejkolwiek akcji politycznej.

Już to jedno jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, że nasze władze oświatowe roztoczyły swą czujność nad wdzierającą się do szkoły trucizną agitacji politycznej, ale jeszcze więcej cieszy nas fakt, że do współdziałania w tej akcji odwołują się władze oświatowe do organizacyj rodzicielskich, podkreślając w ten sposób wielką wagę atmosfery wychowawczej rodziny.

Nawet ci rodzice, którzy dotychczas zdaleka i obojętnie przyglądali się akcji współpracy domu i szkoły, teraz może zrozumieją, że przed tą akcją otwiera się piękne i rozległe pole działania.

Bo przecież morałami, zakazami, represjami, skierowanymi do naszych dzieci, nie powstrzymamy zakusów demagogicznej agitacji, która sięga po ich dusze. Osiągniemy wpływ na naszą młodzież jedynie, gdy się do niej zbliżymy, gdy postaramy się zrozumieć jej psychikę, wczuć się w jej potrzeby, gdy staniemy się dla niej przyjaciółmi, doradcami, gdy ją potrafimy wciągnąć od lat najmłodszych do pracy zespołowej, a potem, rozszerzając zakres tej pracy, do twórczej pracy społecznej.

I nie wątpimy, że do tego apelu staną rodzice, aby w imię zdrowia moralnego naszych dzieci, w imię ich przyszłości, a więc przyszłości narodu, strzec i chronić od wypaczenia, ustrzec od krzywdy ich dusze.

Gdy jestem ojcem.

Z radością wielką powitałam w „Rodzinie i Dziecku" (styczeń r.b) tak piękny i gorący głos ojca. Oczywiście, podsunęłam go zaraz mojemu mężowi, któremu również bardzo się podobał. Słyszałam od znajomych pań z naszego Koła, że i one także swoim mężom dały ten artykuł do przeczytania.

Udział ojca w wychowaniu jest czynnikiem tak doniosłym, że zasługuje na wielokrotne omówienie i pogłębienie. W tradycji naszego wychowania narodowego czynnik ojcowski zaznaczał się wybitnie.

Dziś ojcowie, pochłonięci troskami codziennego dnia coraz mniej interesują się sprawami wychowawczymi, tak że w wielu szkołach Patronaty, jedyny

dział w organizacjach rodzicielskich, zajmujący się specjalnie sprawami wychowania, są właściwie niemal wyłącznie organizacją matek, nawet w szkołach męskich. Zapewne, matki mają nieraz sporo wolnego czasu, ileż jednak zdziałać mogliby ojcowie, gdyby więcej chwil wolnych od zajęć zechcieli poświęcać swym dzieciom! W zbliżeniu się do nich, w przyjacielskim z nimi współżyciu znaleźliby niewątpliwie lepsze odświeżenie i radośniejsze bodźce niż w kawiarni lub przy stoliku bridżowym.

Powiem więcej: znaleźliby wiele radości dla siebie i dać mogliby wiele młodemu pokoleniu, gdyby zechcieli poświęcać trochę czasu nie wyłącznie własnym synom, bo w nich chcą przeważnie widzieć jakiś ideał bez zarzutu, i zbyt są skłonni do ciągłego ich musztrowania, ale całej gromadce chłopców, kolegów synowskich, którzy w takim ojcu-przyjacielu chętnie szukaliby rady i pomocy w różnych swoich kłopotach i zagadnieniach.

A może warto byłoby, żeby i ojcowie doczekali się swojego święta, jak mają je matki? Może takie uczczenie ich roli wychowawczej zachęci ich do gorliwszego przejęcia się „wielką łaską ojcostwa", jaka im przypadła w udziale?

J. F.

Harcerz, alkohol i papierosy.

Harcerz polski składa przyrzeczenie, że nie będzie pił i nie będzie palił papierosów. Czemuż więc coraz częściej się widzi, że na jakimś przyjęciu czy imieninach druh lub druhna ze śmiechem pozwalają napełnić swój kieliszek, tłumacząc się, że przecież „toasty" wolno spełniać, nawet nie wypada inaczej. Zresztą i te „toasty" są często specjalnie naciągane dla usprawiedliwienia pijącego harcerza. Tak samo zresztą, jeśli chodzi o papierosy palone przez harcerzy i harcerki, co jeszcze częściej się zdarza niż picie alkoholu i czego nawet nie można już wytłumaczyć niczym w rodzaju „toastów"... Czasem ktoś jest lekko zawstydzony popełnionym przestępstwem, czasem mały harcerz, jeszcze tak zwany „wilczek", obecny w tym samym towarzystwie rzuca spojrzenie pełne zgorszenia i nagany i może zdziwionego przestrachu, ale naogół wszyscy są z aprobatą. Często namawiają nawet, choć ktoś ma skrupuły i wymawia się, sami udają „toasty", śmieją się z „cnotliwych". I to jest wszystko poprostu oburzające, to jest coś, co aż krzyczy o surowe, najsurowsze zgromienie, napiętnowanie.

Bo o ile, moim zdaniem, nigdy nie mamy prawa żądać od dziecka ani nalegać, żeby zapisało się do jakiejś organizacji, jeżeli nie zdradza do tego ochoty, o tyle jeżeli się zapisało, to nie tylko mamy prawo, ale m u s i m y zupełnie ostro i zdecydowanie żądać spełniania jej nakazów. I nie wolno nam bawić się tu w kompromisy, tłumaczyć czy wyróżniać specjalnych okoliczności. Zapisałeś się, należysz, niech przyrzeczenie nie będzie tylko formułką na papierze, niech będzie ważne i p o w a ż n e dla ciebie gdziekolwiek będziesz i z kimkolwiek będziesz. Nie wahajmy się okazać swojego wyraźnego lekceważenia i wzgardy tym, którzy mimo noszenia munduru harcerskiego w gruncie rzeczy harcerzami nie są, nie spełniają bowiem przykazań harcerskich szkodząc swym postępowaniem dobremu imieniu harcerza polskiego..

Społeczeństwo zawsze, we wszystkich okolicznościach ma prawo i powinno okazać swoje najwyższe oburzenie takim jednostkom, a nie pokrywać śmiechem i żartami ich przewinień, jak to się niestety dzieje u nas często bądź przez niezrozumienie, bądź przez fałszywą „delikatność", która tu większą szkodę wyrządza niż najostrzejsze słowa.

Marian Wolski.

O zabawach szkolnych.

Chciałbym poruszyć na łamach „Rodziny i Dziecka” niby drobną sprawę, która według mnie wcale drobna nie jest. Znamy wszyscy rozporządzenie p. Ministra W. R. i O. P. z r. ub., że zabawy dla młodzieży szkół średnich mają kończyć się o g. 22. Młodzież nie bardzo jest z tego powodu zadowolona, starsze pokolenie często się z nią solidaryzuje, ale nie o to mi chodzi. Dowiaduję się, że w ostatnich dniach niektóre szkoły (w tej liczbie i państwowe) przedłużają zabawy szkolne do północy. Czy to jest dobry system wychowawczy? Czy należy pozwalać młodzieży wyłamywać się z pod zarządzeń Władz Oświatowych? Czy w czasach, kiedy wszyscy tak usilnie poszukujemy sposobów, żeby wychować młodzież karną i obowiązkową, konsekwentne jest takie solidaryzowanie się starszych z młodzieżą w niestosowaniu do siebie zarządzeń Władz? Nie jestem pedagogiem, może mnie kto z fachowców wyjaśni, czy sąd mój jest słuszny czy nie.

T. J.

W sprawie „taksy administracyjnej”.

Od pewnego czasu w prasie zaczęto w burzliwy sposób poruszać sprawy taksy administracyjnej czyli opłaty pobieranej za naukę w szkołach średnich państwowych. Tu zaznaczyć trzeba, że gwałt zrobiła raczej prasa codzienna, a nie osoby najbardziej interesowane — rodzice. Nie chcę wchodzić w meritum sprawy — czy szkoła średnia tak samo jak powszechna powinna być bezpłatna, czy może sobie na to pozwolić w tej chwili budżet Minist. W. R. i O. P. itd., ale chciałbym podejść do tego zagadnienia z czysto życiowej, praktycznej strony. Wiemy jak trudno dziecku dostać się do państwowej szkoły, wiemy jaki w niej duży odsetek dzieci wysokich urzędników, wojskowych wyższego stopnia i różnych „protegowanych” (nie chcę bynajmniej wyrażać jakiejś goryczy z tego powodu, boć system protekcji jest na całym świecie, ale liczyć się z tym musimy). Jest to młodzież w wielu wypadkach zamożniejsza od tej, która nie mogąc się dostać do szkoły państwowej kształci się w prywatnej. Dlaczegóż dzieci zamożnych rodziców miałyby już być tak bardzo uprzywilejowane? Czy nie sprawiedliwiej, nie celowiej zwolnić z opłaty taksy większą ilość młodzieży ubogiej w szkole państwowej, a w prywatnej utworzyć na ten cel fundusz stypendialny? Sądzę, że gwoli sprawiedliwości społecznej byłoby to słuszniejsze rozwiązanie sprawy, niż jeszcze jeden przywilej dla zamożnych obywateli — darmowa nauka dla dziecka, gdy zdolna młodzież, ale uboga albo wcale nie może chodzić do szkoły średniej, albo rodzice dosłownie od ust sobie odejmują, aby zapłacić choćby najbardziej „ulgowy wpis” w szkole prywatnej.

Ojciec.

Smutniejsze niż szlagier.

W numerze 10, r. 1937 „Rodziny i Dziecka” znajduje się w „Głosach rodziców” króciutki artykulik p. t. „Szlagier czy piosenka”, w którym autor (lub autorka) ukrywający się pod literami „Ł. L.” podkreśla bolesną groteskowość szlagieru ubolewając jak bardzo „przykro jest słyszeć „dorosłe” słowa w ustach dziecka i widzieć w jasnych, dziecinnych oczach jakiś wyraz „starych spraw”... Zdanie to chyba każdemu z nas nasuwa smutne porównanie takiegoż wyrazu oczu dzieci, które wysłuchują i powtarzają właśnie „stare, dorosłe” sprawy nie z piosenki, a wprost z życia, często niestety nawet najbliższego otoczenia.

Nie mniej przykro, choć może dla wielu równie zabawnie jak słowa brukowej piosenki, brzmią w ustach dziecka uwagi o rozwodach, „robieniu pieniądza", przyjaciółkach szefa, konferencjach, które nie są konferencjami, przymiarce u krawcowej, która jest tylko pretekstem itd. itd. W niektórych rodzinach dziwnie nieopatrznie mówi się o tych sprawach przy dzieciach, mówi się często w sposób cyniczny i brudny, tłumacząc, że „dziecko i tak nie rozumie". Mały bąk powtarza jak papuga usłyszane słowa, bawiąc tym całe towarzystwo i powodując wybuchy śmiechu, szczególnie, gdy wypowiedziana poważnie dziecinnymi ustami maksyma okaże się przypadkiem zupełnie à propos.

Mówi się, że pani X opuściła męża i wyjechała z pewnym dyrektorem, o którym wiadomo, że jest bogaty, a mały dzidziuś komicznie poważnie dorzuca nagle: — „dziś najważniejsze są pieniążki" — Kiedyś znowu posłyszał przypadkiem kłótnię rodziców, w której matka odezwała się wśród łez: „dosyć mam tego klepania kotletów, szorowania, wszystko za nic, ty i tak nic nie ocenisz"... powtarza śpiewnie biegając w podskokach po całym domu „mama nie chce klepać kotletów, mama nie chce klepać kotletów!" i cichutko wtajemnicza przybyłą ciotkę w przyczynę złego humoru rodziców, interpretując po swojemu, czym ciocia jest „zachwycona" i nie szczędzi okazywania tych zachwytów malcowi.

Potem kiedyś przy gościach mały zapytuje nagle: „mamusiu, ale ja nie będę mieć nowego tatusia, jak Olesia? Bo ten jest dobry, ja nie chcę". Oczywiście rozpromieniony tatuś tuli synka, goście się zaśmiewają zachwyceni — jakie to mądre, bystre, jakie współczesne dziecko! Ale ono przecież nic nie rozumie! Zaczynają się tłuste, pieprzne dowcipy, pikantne historyjki, zgorzkniała krytyka obecnej wartości życia, materializmu, karierowiczostwa. To małe znowu nic „nie rozumie", a jeżeli nawet... toć dziecko współczesne musi się nauczyć życia, „żeby nie było głupie i nie dostało w łeb przy zetknięciu się z rzeczywistością" — usprawiedliwiają się dorośli. „Dziś trzeba być realistą" dodają dla uśmierzenia własnych wątpliwości i dalej śmieją się i żartują z „poważnych powiedzeń dziecka, nie widząc właśnie ogromnie smutnej strony tego groteskowego zestawienia, jakim jest dziecięca wrażliwa dusza i ciężar tych „dorosłych spraw", może bardzo brudnych czasem... a zawsze tak bardzo dalekich od psychiki dziecka i jeszcze niepotrzebnych.

Cóż dziwnego, że dziecko tak wychowane zdziwi nas kiedyś nagle swoim nastawieniem do życia, gdy wypowie swój sąd, swoje racje i gdy się okaże, że są one bardzo, bardzo „stare", o wiele za dużo dorosłe niż jego młoda dusza. Czy wtedy nie pomyślimy sobie, że sami sieliśmy to wytrwale i powoli przez całe dzieciństwo, już wtedy, gdy śmieszyły nas i bawiły dziecięce dowcipy i potem, gdy staraliśmy się „pokazać im życie" bez osłonek, (czemuż z tej najbrzydszej strony i przez ciemne okulary?) dla ich dobra, czy teraz nie zbieramy plonu z sianego dokładnie i systematycznie przez wiele czasu ziarna? I my, patrząc na zgorzkniałość i przedwczesną dojrzałość naszych dzieci, nie uczujemy żadnych wyrzutów za tamto dawne, beztroskie nastawienie?

I ciekawe, czy pokolenie wychowane w ten sposób też będzie w przyszłości bawić się „dorosłymi" dowcipami swoich dzieci?...

Teresa M.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Zagadnienie egzekutywy we współczesnej szkole.

„W pocie czoła budujemy naszą nową polską szkołę". „Chcemy ją widzieć mocną i trwałą, o zdobycze nowoczesnej pedagogii opartą, potrzebom narodu i państwa odpowiadającą, zdrową i radosną". Słowa powyższe możemy uważać

jako motto bardzo ciekawego artykułu p. W. Gałeckiego w Dzienniku Urzędowym Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego z listopada r. ub.

Wśród chaosu sprzecznych poglądów, wśród walki starych nawyknień i szablonu z hasłami współczesnymi, z nową inwencją pedagogiczną i pedagogicznym nowatorstwem wyłania się nowa szkoła polska. I cokolwiekby przeciwnicy nowej szkoły i nowej reformy szkolnej mówili— pisze p. Gałecki — szkoła nasza idzie drogą postępu i posiada niezaprzeczone walory, o jakiej szkole minionej się nie śniło. Autor nie chce mówić jednak czytelnikom o tych walorach, lecz raczej uświadomić ich właśnie o brakach i niedociągnięciach, gdyż tylko pełne uświadomienie sobie stron słabych i ujemnych szkoły może nas zaprowadzić do stopniowego jej doskonalenia.

W artykule niniejszym autorowi chodzi o zagadnienie egzekutywy, zarówno w nauczaniu jak i w wychowaniu młodzieży. Szkoła „wczorajsza" pod względem mocnej i wyraźnej egzekutywy stała o wiele wyżej od „dzisiejszej", której — przyznać musimy — właśnie brak należytej egzekutywy w stosunku do młodzieży. To znaczy, że brak w tej szkole wyraźnych i zdecydowanych wymagań od uczniów, brak należytej kontroli nad ich wiedzą i postępowaniem; istnieje pewna chwiejność w ocenianiu postępów i sprawowania młodzieży, niedostateczna umiejętność wydobycia z młodzieży maximum jej wysiłku i dobrej woli, zmuszenia jej do wykonywania włożonych nań obowiązków[1]).

Jakież są tego skutki? Brak systematyczności w pracy, przyzwyczajenie się do lekceważenia obowiązków i nakazów, zbytnia swoboda w zachowaniu, posunięta niekiedy aż do brutalności i nieobyczajności. Stan ten można stwierdzić w różnych środowiskach i w różnych szkołach z różnym nasileniem, nie mniej jednak brak wyraźnej egzekutywy odczuwa się jako bolączkę ogólną dzisiejszej szkoły.

W dalszej części artykułu autor wskazuje na przyczyny, które powodują powyższy stan rzeczy w dziedzinie nauczania i wychowania. Otóż najistotniejszym powodem braku należytej egzekutywy w dziedzinie nauczania jest rozbieżność nowoczesnych metod nauczania z warunkami w jakich mogą być stosowane u nas. Współczesna pedagogika wymaga od ucznia postawy czynnej, przeżywania materiału, aktywności. Nauczyciel musi umieć organizować pracę klasy i jednostek. Współczesne hasła dydaktyczne wymagają, aby młodzież nie wchłaniała prawd gotowych, ale aby dociekała ich przez własną obserwację, przez własny wysiłek mózgu. Taka metoda wymaga bez porównania więcej czasu, niż wykład i odpytywanie stosowane w dawnej szkole. Nauczyciel w szkole dzisiejszej tak pochłonięty jest przy przerabianiu materiału stosowaniem właściwych współczesnych metod, że nie ma czasu na egzekutywę, bo programy cechuje wielka obfitość materiału, a klasy są przepełnione. Nauczyciel, chcąc wykonać należycie program, nie ma czasu na stwierdzenie zasobu wiedzy swych uczniów, na dokładną ocenę ich postępów. A jeżeli położy nacisk na egzekutywę, to znowu musi zrezygnować z nowoczesnych metod nauczania. „Młodzież wymyka się pedagogom jak ryba z rozdartej sieci, a pilniejsza boleje niekiedy, że nie jest należycie oceniana, zniechęca się, opuszcza ręce."

Jeżeli chodzi o brak egzekutywy w dziedzinie wychowania, to wynika on z nienależytego ustosunkowania się wychowawców do nowoczesnych metod wychowawczych. Hasło dzisiejszego wychowania propaguje samodzielność młodzieży, a więc samowychowanie w jak najszerszym znaczeniu tego słowa — w samorządach szkolnych, w organizacjach młodzieży i wszelkich innych formach pracy aktywnej wychowanków.

Postępujemy krańcowo — dajemy młodzieży daleko posuniętą swobodę, od-

---

[1]) P. Rodzina i Dziecko, Nr. 9, r. ub. art. „O karności".

czuwając jakby lęk wobec wszelkich objawów przymusu czy nakazu. Młodzież pozostawia się samą sobie, „opiekuje się nią platonicznie i z odległości”. Kontrola wydaje się wychowawcy czymś, co uwłacza godności zarówno wychowawcy jak wychowanka. Nauczyciel - wychowawca usuwa siebie na plan drugi, postępowanie swoje powoduje zaufaniem do młodzieży, które — oczekuje — będzie należycie ocenione przez młodzież i będzie ją „obowiązywało”. Tymczasem metoda powyższa jakże często zaczyna się wyradzać w obojętność pedagoga, a w bezkarność u młodzieży.

Przyczyn braku karności u młodzieży szukać jednak należy i na szerszym terenie. Państwo i społeczeństwo nasze są jeszcze ciągle w fazie krystalizowania się, przeobrażania pojęć i poglądów w okresie „stawania się”. Nic też dziwnego, że i w wychowaniu szukamy gorączkowo haseł, aby je jak najlepiej i jak najskuteczniej przystosować do potrzeb życia. Szkołę oblegają wpływy, nastroje i kierunki obfitujące w zmienność, jak zmienny jest wir samego życia. Ale w przeciwieństwie do zawrotnie szybkiego tempa i różnorodności wymagań — od pedagoga wymagamy właśnie spokoju i stabilizacji wewnętrznej, bo on ma urabiać charaktery i postawę młodzieży. Jakkolwiek program wychowawczy jest przez najwyższą magistraturę ustalony i podany, w praktyce bywają często odchylenia, które niezmiernie utrudniają pracę wychowawcy. Wyrazistość postawy wychowawczej zaciera się, „zamiast rozumnej, umiarkowanej a zarazem dobrotliwej surowości występuje pobłażliwość czy zbyt daleko posunięta względność”. Taka postawa psychiczna nauczyciela-wychowawcy stanowczo nie sprzyja egzekutywie w stosunku do młodzieży. Nie odpowiada również w kierunku przysposobienia młodzieży do obrony kraju, które wymaga od szkoły atmosfery nacechowanej zdecydowaniem i wewnętrzną siłą. Od siły zaś moralnej człowieka zależy wartość życia jednostki, społeczeństwa i siła państwa.

Dążenie do wzmocnienia egzekutywy w szkole dzisiejszej istnieje i sprawa ta ulega z każdym rokiem poprawie; wyda ona jednak rezultaty wtedy, gdy w parze z tym wystąpi równie silna tendencja w społeczeństwie do podniesienia karności obywatelskiej. Rola domu rodzicielskiego jest w tej dziedzinie życia szczególnie ważna.

Ponieważ trudno oddzielić w życiu młodzieży kierunek wychowawczy w szkole i w domu i właściwa współpraca obu tych środowisk i uzgodnienie ich wpływów, zdążających do jednego celu, jest podstawą skutecznego realizowania przyjętych na siebie zobowiązań, sądzimy, że jakkolwiek rozważania powyższe oficjalnie dotyczą tylko szkoły, rodzice powinni być poinformowani o tym należycie, aby przez inteligentny współudział w pracy szkoły osłabić chwilowe bolączki, a przez mocny, zdecydowany wpływ na swoje dzieci wspólnie ze szkołą urabiać mocne osobowości i charaktery.

Z PRASY POLSKIEJ.

Kompetencje i nietakty.

W artykule pod powyższym tytułem z dn. 9 grud. ub. r. pani Z. Z. porusza w „Kurjerze Warszawskim” jedną z najbardziej aktualnych bolączek: stosunku domu do szkoły i szkoły do domu w kwestjach wychowania:

Mówi się: rodzice nie umieją wychowywać, to dyletanci, — a nauczyciele — to fachowcy, znający pedagogikę i psychologię, powołani do tych zadań, którym rodzice podołać nie potrafią.

Brak kompetencji wychowawczych rodziców był walnym argumentem zwolenników całkowitego przerzucenia wychowania na szkołę. Nieco później wystąpili przeciw

nim zwolennicy współpracy domu i szkoły. A zrzeszenia przyszkolne rodzicielskie i inne organizacje wysunęły konieczność „przeszkalania rodziców”.

Jednakże wszystko to nie doprowadziło jeszcze do pożądanych wyników i istnieje wciąż pomieszanie pojęć o zakresie zadań szkoły i domu.

Typowe było oburzenie jednej z robotnic, którą wezwał do szkoły nauczyciel po to, by jej powiedzieć: — A niechże pani nareszcie nauczy swego chłopca pisać bez błędów, przecież on promocji nie dostanie. — Ano to chyba pan pójdzie za mnie do warsztatu, a ja zacznę dzieci uczyć — odparła, a po tem opowiadając mi tę rozmowę dodała: — Od czegóż szkoła jest? Przecież się po to dziecko posyła, żeby je nauczyli. Jakbym ja umiała uczyć, to byłabym nauczycielką, a nie nakładaczką w fabryce. Moja — matczyna — rzecz to, żeby dzieciak był czysty, niegłodny, uczciwy, prawdomówny i dobry, a za naukę ja nie odpowiadam, chyba, żeby był len i bąki zbijał.

Inny przykład. Przychodzi matka uczennicy, która ostatni rok szkoły przed sobą mając, „trzymana jest darmo”, bo w rodzinie zaszła tragedia, która zrujnowała jej życie. Dziewczynka była żywa, bystra, ambitna, — katastrofa w domu złamała ją. Ale dlaczego? Bo niedość było nieszczęścia, jeszcze szkoła swój kamień dołożyła. Wychowawczyni jest tak „subtelna”, że gdy tylko dziewczynka gorszy stopień dostanie, zaraz wobec całej klasy rozlega się: „...Wiesz, na jakich warunkach tu jesteś”... To się nazywa „fachowy pedagog” — z dyplomem, mający w swoim mniemaniu większe kwalifikacje wychowawcze, niż najmądrzejsza matka... bez dyplomu.

Jeżeli wskazuje się na braki wychowawcze domu, wytyka błędy i winy rodzicom, to należałoby w równej co najmniej mierze, wymagać już nie umiejętności wychowawczych, ale taktu i umiejętności uczenia od szkoły.

Kto to zrobił?

W „Kurjerze Poznańskim” z dn. 9 stycznia b.r. dr. Niemojewska-Gruszczyńska podaje dwa interesujące obrazki dotyczące kradzieży szkolnych, niestety tak częstych i coraz częstszych!

W szkole powszechnej zginęły pieniądze kółka L.O.P.P. Papier, w którym były zawinięte, odnaleziono w koszyku od śmieci, więc ukradł ktoś z klasy.

Nikt się nie przyznaje. Kierowniczka wzywa rodziców, pyta, czy nie widzieli u dzieci przedmiotów nieznanego sobie pochodzenia.

Zgłasza się matka małej skarbniczki: zauważyła u swej córki nową bransoletkę, pierścionek i broszkę. Dziewczynka twierdzi, że dostała od przyjaciółki, a zarazem sąsiadki szkolnej.

Wywołano dziewczynkę z klasy pod pretekstem badania dentystycznego. Poważnie, ale serdecznie traktowane dziecko stopniowo wyznaje wszystko. Ona wzięła pieniądze, i te inne rzeczy, które giną w klasach. Zaczęło się przed dwoma laty, kiedy chodziła do innej szkoły. Miała kupić w sklepiku cukierki. Był tłok, wyszła i nie zapłaciła. Potem spróbowała jeszcze raz i udało jej się. Nikt jej nie podejrzewa, nikt się przed nią nie pilnuje. Ale tym razem skarbniczka tak płakała. Było jej żal Basi, więc chciała ją pocieszyć i kupiła jej te drobiazgi... I tak dalej w kółko.

Co robić? Wydalić? Ależ to znaczyłoby dać warunki do dalszych kradzieży. Nie, zostanie w szkole pod opieką wychowawczyni. Teraz będzie się bała ruszyć cudzą własność, bo choć dzieci nie będą wiedziały, ale pani wie... Rodzice zwrócili pieniądze. Dzieciom powiedziano, że winowajca się przyznał, i że trzeba mu pomóc do poprawy. Że zaś nie wiadomo, kto to, a bardzo chce się poprawić, więc niech wszystkie bardzo się kochają i opiekują się sobą nawzajem. Niech czuwają nad klasą...

W tych warunkach prawie nigdy nie zdarza się recydywa. Nałóg przezwyciężony traci swą siłę... Dobrze też po jakimś czasie dać dowód ufności, powie-

rzając winowajczyni jakieś dobra klasowe, za które odpowiada. Ten dowód zaufania bardzo bywa ceniony i jest pełną rehabilitacją.

A może nie pozwalać dzieciom zbierać składek? Byłoby to może najprostsze, ale do niczego nie prowadzi. Są przecież zawsze przedmioty, nęcące do kradzieży. Dziecko musi nauczyć się powściągać pokusy, ponosić odpowiedzialność za powierzony sobie majątek wspólny. Jeśli są w nim złe skłonności, to lepiej, że ujawnią się wtedy, gdy ma przy sobie ludzi, którzy pomogą je opanować...

Inny wypadek. W gimnazium giną zeszyty, ale te najlepsze, odznaczone. Znajdują je woźni za piecami, na piecach, za szafami...

I co się okazało: Zosia nie może znieść tego, że koleżankom powodzi się lepiej. Sama jest słabą uczennicą. Jest ambitna, cierpi. Nie ma wyróżnionego zeszytu, niech nie mają inne.

Kradzież z ambicji. Wypadek rzadszy, ale łatwiejszy do wyleczenia. Wychowawczyni wytłumaczy Zosi całą brzydotę i bezsensowność zawiści. Tylko samo zamiłowanie do pracy może dać dobre wyniki. Wychowawczyni nawiąże z nią kontakt ściślejszy. Da jej przy najbliższej okazji możność wykazania się jakąś pożyteczną w klasie działalnością, która jej zjedna uznanie koleżanek. Poczucie małowartościowości mija. Zosia czuje się „kimś", zaczyna spokojniej i lepiej pracować.

„Jak w jednym, tak w drugim wypadku tajemnica musi być ściśle zachowana. Wtajemniczony może być tylko dom, ale dom musi również ufać metodom szkoły, wierzyć, że szkołą nie jest sędzią, lecz przyjacielem dziecka. Nie trzeba, aby rodzice ukrywali przed szkołą wady swych dzieci, pomagali skrywać winy. Tylko wspólna opieka i wspólna praca może uratować od załamania ich dziecko, chwiejące się jeszcze i słabe".

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Tylko dla ojców.

Amerykańskie pismo rodzicielskie „Parents Magazine" poświęca pracy wychowawczej ojców stałą rubrykę, zatytułowaną sensacyjnie: „Tylko dla ojców".

Omawiana jest tam pomoc, jaką ojcowie mogą wnieść do organizacyj rodzicielskich przy orientacji młodego pokolenia w sprawie przyszłego zawodu, dyskutowana jest przydatność przedmiotów nauczania szkolnego w dalszym życiu praktycznym i zawodowym.

Jeden z ojców omawia w tym dziale sposoby kierowania chłopcami w okresie, kiedy wzmaga się u nich tendencja do tworzenia grup i gromad. Najważniejszym, jego zdaniem, to podsunąć takiej grupie jakiś cel praktyczny do zrealizowania: budowy samolotu, radioodbiornika, zbieranie marek, stolarka itp. Drugą ważną rzeczą jest unikanie błędu, który nieraz popełniają ojcowie, chcący mieć wpływ na dobór towarzyszów syna: nie usuwać tych członków grupy, którzy nam się wydają niepożądani — poziom grupy nie podniesie się przez takie posunięcie, a zato zbudzi się w pozostałych chłopcach rozgoryczenie i opozycję. Niech grupa sama dobiera i usuwa swoich członków.

Inny ojciec omawia zagadnienie kary i ośmieszania. Czyż to nie jest ze strony nas, ojców, poprostu wyładowaniem naszych złych humorów na dziecko? „Im więcej mnie karzecie, tym więcej mam ochotę to robić, czego mi zabraniacie" powiedział mu raz jego siedmioletni synek. I te słowa dziecka skłoniły go do poważnej rewizji swej postawy wychowawczej.

Karanie i ośmieszanie, to niebezpieczne i groźne nieraz w skutkach chwyty wychowawcze. Stają się u dziecka źródłem wiecznego poczucia niepewności, braku wiary w siebie, owego ustawicznego pogotowia obronnego, które widzi-

my u tylu ludzi. Prowadzi ono do załamań się życiowych, do wykolejenia się tylu małżeństw, do przestępstw, do samobójstw.

Przeciwieństwem tego poczucia jest umiejętność znalezienia się w każdej nowej sytuacji, łatwość współdziałania i współpracy. Taka postawa niesie z sobą zdrowie, szczęście i powodzenie. Należy wychowywać w dziecku pozytywną postawę wobec życia, cóż kiedy wiele rodziców jej nie posiada, nic więc dziwnego, że swoje błędne chorobliwe ustosunkowanie się do życia i współżycia przekazują swoim dzieciom.

Inny znów ojciec pisze o wspólnych zainteresowaniach z synem, o tym, jak go nauczył obchodzenia się z narzędziami, najpierw najprostszymi, najprymitywniejszymi, żeby nie zabić w dziecku twórczej inicjatywy i samodzielności, a dopiero potem, gdy już nabył należytą sprawność, pozwolił mu korzystać z narzędzi bardziej skomplikowanych.

Znalazł się też w dziale „Tylko dla ojców" artykuł w obronie córek, napisany przez ojca, który sam się przyznaje, że oczekiwał i pragnął syna, ale twierdzi, że przyjaźń z córeczką dała mu nieoczekiwanie wiele szczęścia.

Bardzo ciekawy artykuł poświęcony jest w tym dziale inicjatywie pewnego ojca, który miał wiele kłopotu z zorganizowaniem wakacyj dla własnych synów i zatroszczył się, jak spędzają lato wszystkie dzieci w jego miasteczku.

Wynikiem tego zainteresowania było zorganizowanie obozów wakacyjnych dla młodzieży tego miasteczka, która to inicjatywa rozwinęła się na dużą skalę, cieszy się coraz większym powodzeniem, zapewniając zdrowie i radość wielkiej gromadzie dzieci.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

Janka wróciła ze szkoły i opowiada: „Miałyśmy dziś wycieczkę do muzeum na dwie godziny. Naturalnie chodziło nam najwięcej o to, żeby na łacinę się spóźnić. To miała być trzecia lekcja. Więc Irka i Wanda musiały zadawać ciągle pytania, że się niby bardzo interesują, potem nasza grupa zgubiła się w końcowych salach i nie mogli nas długo znaleźć. A do szkoły szłyśmy tak powoli, włócząc nogę za nogą, że p. Z. pytała nas, czy mamy po osiemdziesiąt lat, a myśmy jej mówiły, że jesteśmy takie strasznie zmęczone. No, ale udało się, przyszłyśmy 20 minut po dzwonku, rozbierałyśmy się wolniutko i łacina się upiekła. To było jakieś muzeum etnograficzne". „Byłam tam niedawno, — powiedziała obecna przy rozmowie ciotka— czyś widziała jakie śliczne są obrazy huculskie na szkle, jakie ciekawe modele ciast".

— „Nie, ja nie widziałam, bo powiedzieli, że z tego będzie klasówka, więc ja notowałam, nie miałam czasu na patrzenie".

* * *

Dyrektorka pewnego gimnazjum wychodziła pod bardzo miłym wrażeniem z teatru, obserwowała bowiem w czasie antraktów, jak siedzący w pobliżu pan świadomie uczył swego synka kulturalnego zachowania się, jak mu kazał przepuszczać starsze osoby, przestrzegał przed zbyt głośnymi rozmowami itd. Wrażenie to jednak popsuło się w szatni. Gdy oczekiwała cierpliwie na swą kolej, została nagle gwałtownie odepchnięta, odleciała kilka kroków. Ujrzała jak jej własna uczennica w brawurowym ataku zdobywa płaszcze, tratując po drodze wszelkie przeszkody. Następnego dnia do szkoły przyszła skruszona matka: „ja bardzo przepraszam panią dyrektorkę, ale Zuzia wcale nie widziała, że to pani".

* * *

Do przedziału w pociągu Krynica — Warszawa wsiadają rodzice z dziewczynką lat może 9-ciu, doskonale wyglądającą, prawdopodobnie po wypoczynku świątecznym. Ponieważ jeszcze jest miejsce, więc mama momentalnie rozkłada

pledy, wyciąga haftowane jasieczki wzdychając z ulgą, że może dzieciątko będzie jednak spało w tej męczącej podróży. Układa dziewczynkę na ławce i zaczyna się „karmienie", które wygląda w ten sposób, że pulchne ręce mamy raz po raz nikną w licznych torbach, torebkach i bombonierkach wydobywając co raz to nowe smakołyki. Dziewczynka wprost opycha się przez cały czas, mimo że jest już 11-ta w nocy i mała napewno jest po kolacji.

Na jakiejś stacji wsiada więcej pasażerów i pewność snu dzieciątka jest mocno zachwiana. Lecz bystra i szybka mama co prędzej chowa wiktuały i mała, chyba wyuczona doskonale, udaje, że zasnęła. Matka wzruszonym głosem oznajmia, że „tu śpi dziecko" i nowoprzybyli ludzie wbrew temu, co się mówi, że u nas panuje chamstwo i bezwzględność nawet wobec dzieci, jakoś szanują sen dzieciątka nie żądając zwinięcia „łóżka".

W międzyczasie mama dziewczynki rozmawia z matką chłopca siedzącego naprzeciwko o szkołach, o wychowaniu itd. Jej córka naturalnie uczy się w domu, bo w mieście, gdzie mieszkają, jest tylko publiczna szkoła powszechna, a ona jak zarazy boi się szkoły powszechnej, bo jakież tam towarzystwo, motloch przeważnie! nie, taką demokratką to już nie jest! Wogóle szkoła powszechna jest niezdrowa, „tam takie zepsucie, ordynarne maniery, wyrazy, a ja swoje dziecko tak starannie chowam, wszystko w domu jest skierowane na to, żeby ją nauczyć eleganckiego sposobu bycia".

Tymczasem dziewczynka czując, że sytuacja się wyjaśniła i jej leżącemu miejscu nic nie grozi, otwiera oczy i znowu zaczyna się opychanie słodyczami i owocami. Papierki od cukierków, ciastek, skórki z pomarańczy, wszystkie resztki i okruchy lecą na podłogę, wytwarzając w przedziale zupełnie niezłe wrażenie śmietnika. Jedna z pań, która widocznie ma już dosyć tych efektownych odpadków uczty na swoich pantoflach, zwraca się do dziewczynki, zresztą w tonie zupełnie grzecznym, choć lekko karcącym: „panienka nie powinna tak śmiecić, to przecież nieładnie, można zebrać wszystko do jednej torby i razem wyrzucić"

Na to mama dziewczynki odrzuciwszy odrazu arystokratyczny ton z chwili, gdy mówiła o motlochu ze szkoły powszechnej, upodabnia się do kumoszki i to zresztą nie byle jakiej i zaczyna wykrzykiwać: — „jak pani śmie wtrącać się do cudzego dziecka! Pani rzecz? Wara pani wychowywać moje dziecko! Patrz, Jasiu, — mówi do swego męża, że dziecko przypadkiem upuściło jakiś papierek to taka robi gwałt. Patrzcie ją, jaka wymagająca, napewno stara panna. Matka takby nie mogła się odezwać!"

Mąż jest wyraźnie speszony, może i chciałby się wtrącić, ale widać jest całkowicie zawojowany i milczy zawstydzony, nie śmiąc skrytykować systemu wychowania rządzącego w domu. A kto wie... gdybyśmy mogli odgadnąć myśli reszty podróżnych w przedziale „śpiącego dziecięcia", może zdziwiłoby nas ich podobieństwo. Kto wie, czy każdy z nich, nie wyłączając nawet ojca małej, nie wyobrażał sobie arystokratycznie chowanej dziewczynki właśnie w publicznej szkole powszechnej i nie dochodził do wniosku, że może to byłoby jedyne wyjście, by do wkładanej w jej wychowanie troski o jej dobro dołączyć i drugą, żeby z nią było dobrze.

*

* *

Młoda, pełna życia, elegancka i światowa mamusia ma troje dzieci, każde w innej szkole.

Bierze czynny udział w organizacjach rodzicielskich wszytkich tych szkół — tu na zebraniu, tam pomaga w urządzeniu zabawy, tu spieszy na dyżur.

— Tak silnie jesteś przekonana o skuteczności współpracy domu i szkoły, że tyle czasu poświęcasz tej sprawie? — pyta ją przyjaciółka.

— Ech nie! Tylko przecież muszę jakoś dopomóc moim dzieciom do ukończenia gimnazjum. —

Owa mamusia wygłasza ten pogląd bez skrępowania w obecności tychże dzieci.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05 11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40